EPOKA

ROK V. Warszawa, 5 czerwca 1938 r. Rok V Nr 16 (119)

„Oś“ jeszcze nie rządzi światem

Znów przeżyć wypadło dnie niezwykłego napięcia. Powtórzyły się — tylko chwile pierwszej połowy marca. Tak samo jak wtedy chwytaliśmy najnowsze wydania dzienników z trwożnym pytaniem: „czy już"?

Znowu odbyło się wszystko jak wtedy. Rozpętana orkiestra prasy niemieckiej, alarmy o „prowokacjach", o „ucisku braci Niemców", na których wołanie i błagalne głosy nie może pozostać głuchą potężna, odrodzona Rzesza niemiecka. Znowu, jak wtedy, ruszyły ku granicy pancerne dywizje niemieckie a nowe autostrady zajęczały pod setkami tanków. Znowu poszybowały ku jednemu celowi eskadry lotnicze feldmarszałka Goeringa. I wielu myślało, że finał będzie taki sam jak wtedy, że brunatne bataliony przejdą granicę, nie zatrzymywane przez nikogo, nie powstrzymane w swym pochodzie.

Stało się inaczej. Nagle przycichł nieco orkan prasowy, nagle zaszumiało „im deutschen Blätterwald", że Niemcom nawet nie śni się odwoływać do broni, że koncentracja wojsk niemieckich nad granicą Czechosłowacji to był tylko wymysł niesumiennych reporterów, urojenie poszukujących łatwych sukcesów angielskich dyplomatów, że te wojska które przesuwały się nad granicą czechosłowacką, szły poprostu w promieniach majowego słońca na letnie, ćwiczebne obozy. Nagle p. Henlein, który już nie chciał z nikim mówić i znajdował się po drugiej stronie granicy, ukazał się znowu w Pradze. I chociaż nikt nie wie, co przyniosą nam najbliższe tygodnie, bezpośrednie niebezpieczeństwo, groźba natychmiastowego starcia na razie minęła.

Cóż takiego stało się w tę noc z 21 na 22 maja, noc, kiedy we wszystkich kancelariach dyplomatycznych paliły się światła bez przerwy a premier brytyjski zwoływał z naruszeniem świętego angielskiego weekendu posiedzenie gabinetu na niedzielę przed południem? Co zatrzymało nagle w marszu te same pancerne dywizje, które bez przeszkód wkroczyły do Wiednia, te same eskadry lotnicze, które bez oporu lądowały na lotnisku w Aspern?

Stała się rzecz zgoła niespodziewana. Od lat najpotężniejsze mocarstwa Europy cofają się, krok za krokiem, przed totalistycznym szantażem wojennym. Cofają się w Azji, cofają się w Afryce, cofają się w Europie. Szanghaj i Tsingtao, Addis-Abbeba i Gondar, Malaga i Bilbao, ile nazw, tyleż kapitulacji potężnych mocarstw zachodu przed zuchwałą, totalistyczną agresją. I za każdym razem „realistyczni politycy" powiadali: „Tego wymaga obrona pokoju, to ostatnie ustępstwo w imię pokoju". I tak było aż do kolejnego ustępstwa, aż do kolejnej kapitulacji.

Aż oto ten łańcuch fatalny nagle został przerwany. Demokratyczny, oparty o zaufanie swego społeczeństwa rząd Czechosłowacji nie uląkł się szantażu, na kontrakcję Reichswehry odpowiedział mobilizacją. Na faszystowskie rozruchy odpowiedział ujęciem sytuacji w mocne karby. Mały, szesnastomilionowy naród przybrał groźną postawę obronną, gotów walczyć do upadłego.

Odwaga, zdecydowanie rządu czechosłowackiego stworzyły nową, zasadniczo zmienioną sytuację w Europie. Kiedy, pod ciosami potężnego jeszcze fa-

szyzmu niemieckiego padał w niesławny grób spróchniały klero-faszyzm Austrii, Europa oburzała się, ale nikt nie ruszył jej z pomocą. Teraz stało się inaczej. Francja od dawna jest związana z Czechosłowacją sojuszem obronnym. Konserwatywny rząd angielski Chaimberlaina bronił się, jak mógł, przed zaangażowaniem w sprawy czechosłowackie — niedawno jeszcze przecież Chamberlain odmówił wręcz w parlamencie jakichkolwiek gwarancji dla Czechosłowacji. Ale w Anglii oprócz City i Rządu istnieje opinia publiczna, poruszona ciągłymi kapitulacjami, wzburzona ostatnio zaborem Austrii. Chamberlain nie mógł, choćby chciał, pozostać „neutralnym". Tak zrodziła się jedność mocarstw demokratycznych, zrodziła się sześciokrotna demarche angielska w Berlinie, która powstrzymała bezpośredni wybuch konfliktu.

Słusznie stwierdził Winston Churchill, że jeśli tym razem udało się zachować pokój, to stało się to dzięki pewnym „szczątkowym" formom zbiorowego bezpieczeństwa. Mielibyśmy tu zastrzeżenia tylko, być może co do pierwszego słowa jego formuły, słowa „szczątkowe". Bo zdaniem naszym nie chodzi tu o szczątki starego bezpieczeństwa zbiorowego, zrodzonego w latach bezpośrednio po wojnie, lecz o zaczątki nowej zasadniczo innej formy kolektywnego bezpieczeństwa. Tamto, stare zbiorowe bezpieczeństwo urodziło się w kancelariach tajnej dyplomacji, w salonach magnatów finansowych. Jego ostrze kierowało się przeciwko demokracji, która wówczas po klęskach wojennych doszła do głosu w państwach Środkowej Europy. Jeśli dzisiaj wojowniczy totalizm rządzi w Berlinie i Wiedniu, to nie mała w tym jest wina owej starej polityki, która demokracjom niemieckiej i austriackiej nie oszczędziła żadnego upokorzenia, która w umysłach rzesz mieszczańskich Niemiec pojęcie demokracji skojarzyła z pojęciem hańby narodowej. Nowe zbiorowe bezpieczeństwo, którego pierwsze skutki widzieliśmy w ubiegłe dni maja, ma inne źródło. Rodzi je niepokój ludów wobec groźby totalistycznej nawały, wobec mary „pax germanica" opartej na ich nędzy i niewoli. Nie wyrasta ono z kancelarii dyplomatycznych — kancelarie dyplomatyczne wykonują tu niechętnie i tylko z ociąganiem się wolę mas ludowych, na tysiącznych zebraniach i wiecach, przedzierającą się na powierzchnię w każdych wyborach uzupełniających Anglii i Francji, przemawiającą głosem masowych, milionowych organizacji demokratycznych Zachodu. Hasło tego nowego kolektywnego bezpieczeństwa jest jasne i proste: trzeba aby wszyscy zagrożeni agresją totalistycznego bloku, stanęli razem, ramię przy ramieniu, aby napad na jednego, choćby najmniejszego z nich, spotkał się z oporem wszystkich!

Utopia! — mówią „realiści". Szczucie do wojny! — ujadają stypendyści min. Goebbelsa. Ale faktem niezbitym pozostaje to, że po każdym, ujawniającym się w kapitulacji przed agresją, akcie „realistycznej" polityki, mina napastników stawała się coraz bardziej zuchwała i buńczuczna, a teraz po raz pierwszy ich miecze wziesione do ciosu — opadły. Nowe zbiorowe bezpieczeństwo przeszło zwycięsko swą pierwszą próbę ogniową. Wykazało, że wojna nie jest nieunikniona, że szantaż wojenny totalizmów jest tylko bluffem, obliczonym na bierność i tchórzostwo innych.

Nie! „oś" jeszcze nie rządzi światem!

Dalecy jednak jesteśmy od przesadnego optymizmu. Wiemy, że imperializm niemiecki nie pogodzi się tak prędko z porażką. Widzimy nowe próby szantażu, nowe prowokacje henleinowskie. Widzimy, że sojusznicy p. Ribbentropa w różnych Bułgariach czy na innych Węgrzech, którzy w pierwszej chwili, przycichli nieco i próbowali się od niego odgraniczać, nabierają znowu śmiałości i rozwijają gorączkową działalność. Nie wiemy — i to jest najważniejsze — czy rząd Chamberlaina, który niechętnie i tylko pod naciskiem przeciwstawił się Berlinowi, nie przygotowuje nowej kapitulacji. Jedną rzecz, najważniejszą, co do optymizmu należy stwierdzić w każdym razie: mocne stanowisko rządu Czechosłowacji, który nie zgodził się, mimo nacisku, odwołać swych wojsk z pasa przygranicznego. Demokracja czechosłowacka, której siłę na terenach etnograficznie czeskich, słowackich i ukraińskich wykazały ostatnie wybory — nie myśli kapitulować. Walce jej, która jest zarazem walką o wolność i niepodległość narodu czeskiego i słowackiego, towarzyszą żywe uczucia całego obozu demokracji polskiej.

Demokracja czechosłowacka swą zdecydowaną postawą dowiodła światu, że wojna nie jest nieunikniona, że można pokoju bronić inaczej niż kapitulacją, że można się bronić i odeprzeć nawałę, że totalizm, który zwyciężał kraje zacofane lub zatrzymane w rozwoju, jak Abisynia i małe tyranie, jak Austria Schuschnigga, napotyka w krajach demokratycznych na zaporę, którą stanowi przywiązanie obywateli do wolnej i niepodległej ojczyzny. Jest rzeczą wielkiej wagi, aby zarówno mocarstwa demokratyczne Zachodu, jak i wszystkie mniejsze państwa demokratyczne wyciągnęły z tego przykładu wnioski w europejskiej skali, i ażeby powstał europejski związek obrony pokoju przed każdą nawałą obcą. skądkolwiek by pochodziła.

OD WYDAWNICTWA

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ BIEŻĄCY PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI.

Zachód mówi
o Czechosłowacji

W wyborze głosów prasy europejskiej zwróciliśmy szczególną uwagę na organy zachowawcze i umiarkowane, natomiast z rozmysłem opuściliśmy głosy prasy demokratycznej i socjalistycznej, która w tym zatargu zajęła stanowisko nierównie ostrzejsze. Uwzględniliśmy również opinię p. Leona Bailby'ego z prawicowego dziennika paryskiego „Le Jour", często i obszernie cytowanego przez P. A. T. Sądzimy, że i obecnie opinia tego organu zasługuje na baczną uwagę.

EPOKA

ZAMIAST MOTTA:

„Powiedzmy prawdę: nie specjalnie los Czechosłowacji, nie względy sprawiedliwości i honoru stanowią w tej chwili czynnik decydujący naszej polityki; chodzi nam przede wszystkim o to, aby przeszkodzić Rzeszy hitlerowskiej, w miarę naszych możliwości, w zgrupowaniu dokoła siebie Europy Naddunajskiej i Europy Wschodniej, chodzi o to, by nie pozwolić jej na nabycie przewagi ekonomicznej, która w krótkim czasie może zamienić się w nieodpartą hegemonię wojskową, mogącą postawić nas w obliczu najstraszniejszej z wojen".

AGENCE ECONOMIQUE ET FINANCIERE.

Po Anschlussie Austrii pytano: kto następny? Padła odpowiedź: Czechosłowacja. Gdy po załatwieniu sprawy Czechosłowacji zapytamy: kto następny? Odpowiedź padnie: Polska...

Przyjdzie czas i na polskich Niemców. Trzeba zupełnego ślepca, albo kupionego przez Niemców zdrajcy, by twierdzić, że państwu polskiemu nie grozi to, co spotkało Austrię, i co czeka Czechosłowację... I Polska ma swoich „sudeckich Niemców". Czego Czechosłowacja ze strony Berlina już doświadczyła, Polskę czeka w przyszłości. Prawdopodobnie po wygaśnięciu paktu z roku 1934. Ale, kto wie, czy nie wcześniej...

„GŁOS NARODU" (Kraków)

P. GOEBBELS ROZPOCZYNA NATARCIE

„Wytworzyła się sytuacja, której powagi nikt, a najmniej Rząd Praski, nie może lekceważyć. Ostateczna, najcięższa odpowiedzialność za straszliwe wypadki ostatnich dni ciąży na władzach praskich... Praga za długo się wahała... Godzina jest poważna. Odpowiedzialność, którą obciążyli się prascy mężowie stanu, jest olbrzymia".

„BERLINER TAGEBLATT".

„Rzesza nie może na stałe tolerować gwałcenia Niemców w Czechosłowacji. ...Zasadnicza przebudowa państwa czechosłowackiego jest nieunikniona. Kto ma decydować jak daleko ma sięgać ta przebudowa? Może Francja? ...Czechosłowacja nie może być zwolniona od obowiązku poszanowania prawa do samostanowienia nie-czeskich narodowości państwa. Wobec tego istnieje jedna tylko instancja, która rzeczywiście jest decydująca: nosiciele tego prawa do samostanowienia, w konkretnym wypadku Niemcy sudeccy. Takie jest stanowisko niemieckie".

„FRANKFURTER ZEITUNG".

„Niemcy sudeccy wyrazili swe żądania w planie karlsbadzkim. Realizacja jego jest warunkiem utrzymania pokoju wewnętrznego Czechosłowacji. Niema więc o co pertraktować. Trzeba uznać i zastosować ten plan".

„DER ANGRIFF".

CZECHOSŁOWACJA ODPOWIADA

„Przeżywamy okres najbardziej poważny od chwili zakończenia wojny światowej. Nie wolno nam tracić spokoju, nie wolno nam bać się nadchodzących dni, nie wolno nam w ogóle bać się czegokolwiek. Musimy być gotowi na wszystko, co może się zdarzyć... Gotowi jesteśmy bronić swojej niepodległości aż do ostateczności... Niema takiej siły, któraby mogła podważyć nasz demokratyczny ustrój. Jest to dla nas kwestia życia i śmierci".

PREZ. BENESZ.

„Pewne koła zagraniczne sądzą, że Niemcy potrafią opanować ziemię sudecką bez jednego wystrzału, tak, jak to było z Austrią. Uważam za niezbędne powiedzieć wobec całego świata, że jeżeli na jakimkolwiek odcinku naszej granicy państwowej pojawi się ktokolwiek — cały naród jak jeden mąż zerwie się, by bronić ojczyzny i wojna stanie się nieunikniona".

POS. BERAN (ideolog prawicy)
sekr. agrariuszy czechosłowackich

„Nie jesteśmy militarystami, ale nie sprzedamy swej wolności. Jesteśmy małym narodem, ale wolności swej będziemy bronić do końca, choćby przyszło nam jej bronić w odosobnieniu".

KROFTA
czechosł. min. spr. zagr.

„Powiedzieliśmy zaraz po anszlusie, że Czechosłowacja to nie Austria. Gdzieindziej jednak nadal żywiono wątpliwości. Od ubiegłej soboty tych wątpliwości nie będzie. W ostatnich latach wszystko w Europie ustępowało przed groźbą wojny. U nas spekulacja na strach przed wojną zawiodła".

„NARODNI LISTY"
(organ prawicy czeskiej)

„Jeśli rząd czechosłowacki zdecydował się w ubiegły piątek do poczynienia wiadomych zarządzeń ochronnych, to uczynił to z konieczności. Rząd nie mógł uczynić nic innego, jeśli chciał być rządem i spełnić swój obowiązek. Techniczne i moralne udanie się tych zarządzeń świadczy, że cały naród z pełnym zaufaniem popiera zarządzenia rządu... Zarządzenia te wynikły z pewnej określonej sytuacji. Póki ta sytuacja się nie zmieni, rząd nie zmieni swych zarządzeń, ktokolwiek by się o to starał".

WICEPREMIER BECHYNE.

JEŚLI WOJNA WYBUCHNIE

„Dnia 20 maja rząd francuski raz jeszcze oświadczył kategorycznie, że, jeśli Niemcy zaatakują Czechosłowację, Francja wykona postanowienia francusko-czeskiego paktu

wzajemnej pomocy. Tego samego dnia, przy swej drugiej wizycie u p. von Ribbentropa, ambasador brytyjski w Berlinie oświadczył, że jeśli wojna wybuchnie pomiędzy Francją a Niemcami w okolicznościach, przewidywanych przez rząd francuski, Niemcy spotkają się na polu bitwy z obu mocarstwami zachodnimi".

„THE ECONOMIST".

OBRAŻONE NIEWINIĄTKA

„Niemcy sudeccy są na równi z nami oburzeni stanowiskiem Anglii, która chce ich obciążyć odpowiedzialnością za sytuację. Trzeba, aby Anglicy zdawali sobie sprawę, że Europa będzie trwała w stanie alarmu tak długo, jak długo Anglia swym poparciem dla polityki Pragi podtrzymywać będzie wzburzenie w Czechosłowacji.

Anglia prowadzi politykę hegemonii, która stwarza ciągłe przedmioty konfliktu.

Czy po Francji i Czechosłowacja ma stać się protektoratem brytyjskim?".

„DEUTSCHE ALLGEMEINE ZEITUNG".

„Anglia stanęła po stronie Czechosłowacji, poderwała zaufanie Niemców sudeckich i całego narodu niemieckiego do swej bezstronności, próbowała określać winnego, nie badając sprawy".

„BERLINER BÖRSENZEITUNG".

ODWAGA IMPONUJE ODWADZE

„To, co jest nowego w sytuacji, to, co należy podkreślić jako fakt historyczny, to okoliczność, że w ciągu ostatnich 2-ch dni po raz pierwszy od szeregu lat Europa zdecydowała się stawić czoło niesłusznej agresji, i że udało się jej, co najmniej na razie, powstrzymać napór Niemiec, który wydawał się niepowstrzymanym".

L. BAILBY w „LE JOUR"
(organ prawicy franc.)

„Od chwili gdy Czechosłowacja zaczęła okazywać zdecydowanie i siłę, stało się jasnym, że ustało niebezpieczeństwo powstania Niemców sudeckich, lub inwazji niemieckiej. Zademonstrowanie nieco tylko mocniejszej postawy ze strony Anglii wystarczyło, by w zupełności wykluczyć, przynajmniej na razie, możliwość bezpośrednich komplikacji".

„FINANCIAL NEWS".

„Niemiecka polityka stwarzania faktów dokonanych przy pomocy zademonstrowania, a niekiedy i użycia siły zbrojnej poniosła porażkę, pierwszą porażkę od chwili przyjścia p. Hitlera do władzy.

Tym razem pokazanie uzbrojonej pięści wywołało skutek wręcz przeciwny od oczekiwanego. Wykazało ono odwagę, chłodną krew i rozum Czechów; zdecydowanie Francji; co więcej, nie mniejsze zdaje się zdecydowanie Anglii, by nie stać z założonymi rękoma, jeśli Niemcy zmuszą nas do wyboru pomiędzy wspólną walką w obronie wolności europejskiej a tolerowaniem poddania Europy wojskowej hegemonii Niemiec".

„ECONOMIST".

„Odwaga imponuje odwadze. Odwaga Czechów wywarła głębokie wrażenie na narodzie angielskim i francuskim. Przyczyniła się ona do przywrócenia Europie świadomości jej obowiązków i wiary w swe siły. Czechosłowacja jest dziś tym, czym była Belgia w 1914 r. Przeznaczenie powierza niekiedy właśnie najmniejszym krajom najdonioślejsze, najszlachetniejsze misje".

DE KERILLIS w „L'EPOQUE".

„Nagłe wystąpienie francusko-angielskie, wywołując głęboki oddźwięk u ludów sąsiedzkich, zaskoczyło Rzeszę... Hitler jest zbyt uparty, by zgodzić się na porażkę lub nawet zadowolić się połowicznym sukcesem. Będzie dalej dążył do swego celu w formach, których nie znamy, w rytmie, który nie sposób określić. Wszystkie niespodzianki są możliwe".

„PETIT BLEU".

DLA OBRONY POKOJU

„Przeżyliśmy koniec tygodnia w trwodze i nie sądzę, by to był ostani weekend tego rodzaju.

Jeśli kryzys obecny skończy się pokojowo, a wierzę, że tak będzie, to stanie się to dzięki temu, co nazwałbym szczątkową formą kolektywnego bezpieczeństwa. Twarde stanowisko Francji, poparte w znacznej mierze przez Wielką Brytanię, oraz w stopniu, który trudno ocenić, przez Z.S.R.R., wreszcie — i to przede wszystkim! — gotowość Czechosłowacji do walki, jeśli to będzie potrzebne, pozwoliła i może pozwolić nadal, by Czechosłowacja nie stała się ofiarą agresji.

Kompetentni obserwatorzy sądzą, że Niemcy nie są jeszcze gotowe do wojny na wielką skalę. Brak im środków żywności i surowców. W tych warunkach, jeśli kierownicy Rzeszy nie oszaleli, będziemy mieli chwilę wytchnienia. Ale co będzie w r. 1939 i 1940? Jeśli do tego czasu nie porozumiemy się z innymi państwami, jesteśmy zagrożeni katastrofą. Trzeba, aby wszystkie państwa bałkańskie i naddunajskie, połączyły się dla obrony pokoju, i by Francja i Wielka Brytania współpracowały z nimi".

WINSTON CHURCHILL.

„Trzeba bronić wolności nie tylko słowami... Trzeba, aby demokracje uderzyły w mocniejsze tony, aby wykazywały więcej energii, niż kraje totalitarne".

HERRIOT.

IDEAŁY DEMOKRACJI I CHRZEŚCIJAŃSTWA

„Ideały narodu francuskiego i angielskiego są wspólne. Jakie jest położenie naszych demokracji, które obie są nastrojone pokojowo? Czy mamy się wyrzec naszych ideałów? Czy mamy zrezygnować z naszej tradycyjnej polityki obrony Europy przed przewagą jednego państwa? Czy kraje nasze są tak słabe, by musiały się zgodzić na rezygnację i upokorzenie?

Atak, który dziś rozwija się w Europie, nie mierzy w jedną prowincję, w jedno państwo. Zagrożone są podstawy życia. Zagrożone jest wszystko, co stanowi jego wartość i jego urok. Zagrożona jest wolność swobodnego rozporządzania sobą, swoboda myśli i przekonań.

Toczy się walka o prawa jednostki ludzkiej. W jej obronie podają sobie ręce pokłóceni dotąd bojownicy ideału demokracji i ideału chrześcijaństwa. Czy nie warto bronić tego ideału? Czy naprawdę demokracje europejskie muszą się poddać, czy muszą pogodzić się z myślą o swojej klęsce? Nie! Pierwszym nakazem dla demokracji jest, aby przestała niedoceniać własnej siły. Demokracje są o wiele silniejsze od ewentualnych napastników. Trzeba tylko, by zdobyły się one w obronie swej wolności i swych ideałów na ofiary nie mniejsze od tych, które dyktatorzy gwałtem wymuszają od swych narodów".

P. REYNAUD (grupa Flandina)
min. sprawiedliwości Francji.

„Coś tu nie jest w porządku"

„Epoka" dwukrotnie w ciągu ostatnich tygodni przeciwstawiała się szerzonej przez pewną część prasy, zwłaszcza konserwatywnej, dezorientacji co do istotnego oblicza OZN. Powołując się na autorytatywne oświadczenia gen. Skwarczyńskiego i majora Galinata, że Obóz ani na krok nie odstąpił od ideologii zawartej w deklaracji pułk. Koca, wykazaliśmy nieprawdziwość twierdzeń o jakimś zwrocie Ozonu ku lewicy, demokracji lub przynajmniej antytotalizmowi. Stwierdziliśmy, że odejście tzw. odprysków spod znaku „Jutra Pracy" i falangowej grupy p. Rutkowskiego nie zmieniło w niczym charakteru OZN jako głównego ośrodka konsolidacyjnego żywiołów sanacyjnych na platformie autorytatywnej, prawicowej i jawnie antydemokratycznej. Pisaliśmy w artykule *Naprzekór oczywistości* (nr 14 z dn. 15 maja b. r.), że ideologia OZN i ZMP pozostała ta sama, jaka była za czasów pułk. Koca i p. Rutkowskiego, że więc „OZN jako całość nie zmienił ani swej ideologii ani linii politycznej".

I oto niedawno „Robotnik" zwrócił uwagę na odezwę Związku Młodej Polski, wydaną już po usunięciu p. Rutkowskiego przez nowe kierownictwo z maj. Galinatem na czele. Odezwa ta wezwała do walki przeciw wszystkim odłamom demokracji, które, zdaniem Z. M. P. — „służąc obcym agenturom, masonerii i międzynarodowego kapitału, eksploatującego do spółki z Żydami Polskę, głoszą demagogiczne hasła pseudo-wolnościowe i pseudo-demokratyczne, za których parawanem kryją akcję, zmierzającą do osłabienia struktury Państwa Polskiego, do poderwania wszystkich jego powiązań, by w chaosie zgubić Polskę".

Ten, wzięty z najlepszych oenerowych wzorów, język — lepiej, niż wszelkie komentarze, charakteryzuje oblicze ideowe młodzieżowego „sektoru" Ozonu. A potem przyszło posiedzenie i uchwały Rady Naczelnej OZN. Zbędną było by rzeczą klarowanie tu ich znaczenia politycznego, skoro działo się to niemal bezpośrednio po znanym oświadczeniu prasowym p. wicepremiera Kwiatkowskiego, że „nie przez próbę osłabienia autorytetu OZN, lecz przez wzmocnienie tego autorytetu wiedzie najkrótsza droga do dalszej konsolidacji". Inaugurując posiedzenie Rady, gen. Skwarczyński jako główne zło naszych czasów wskazał „partyjnictwo, które było w Polsce oparte właśnie na zespole wspólnych interesów niejednokrotnie sprzecznych z dobrem Narodu i Państwa". Oczywiście są interesy i interesy. Znamy takie, które są interesami najszerszych rzesz ludowych — a są też interesy szczupłej, ale ważkiej znaczeniem garści możnowładztwa finansowo - feodalnego i związanej z nim, ale obcej społeczeństwu i osamotnionej w narodzie elity politycznej. To też mamy partie i partie, zależnie od tego, których interesów bronią. Przypominają się rzucone w *Rozdrożu* twarde słowa Marii Dąbrowskiej: „Nikt nie może zaprzeczyć, że czynniki rewolucji i sanacji moralnej nie poszły za najbardziej obowiązującą tradycją Kościuszki. Że nie ku chatom i robotniczym izbom, więc nie ogromnej większości narodu się zwróciły, lecz ku pałacom". Mówiąc o partiach i partyjnictwie w Polsce, warto by zawsze i przede wszystkim mieć w pamięci te słowa umiarkowanej i rozważnej pisarki.

I cóż uchwaliła Rada Naczelna stronnictwa, które pretenduje do wielkiej i odpowiedzialnej roli jednoczenia narodu? W palącej i obolałej, ważkiej społecznie sprawie rolnej, od której śmiałego, rozwiązania w duchu demokratycznym zależy przyszłość Rzeczypospolitej, Rada zdobyła się na truizmy i ogólniki, w praktycznym efekcie idące zresztą po linii dotychczasowej polityki rolnej min. Poniatowskiego. Czyli — nic nowego. Nic, co by nie było już powiedziane przez Naprawę, Zespół Społeczno-Narodowy, Siew i cały ten odłam sanacji, który wziął na siebie główny ciężar walki z dążeniami chłopskimi do urzeczywistnienia ludowej reformy rolnej.

Zato o sprawie żydowskiej powiedziała Rada Naczelna bardzo, bardzo dużo. Uchwaliła wyczerpujące tezy na podstawie wywodów p. Paprockiego, referenta spraw mniejszościowych w prezydium Rady Ministrów (p. Paprocki występował co prawda w charakterze prywatnym). Czegóż w tych tezach nie ma! Niepokój starej endecji jest całkowicie uzasadniony. Konkurencja bardzo poważna, imitacja dmowszczyzny nad podziw udana. Więc, że Żydzi osłabiają normalny rozwój polskich sił narodowych i państwowych, więc że trzeba zredukować ich udział w życiu gospodarczym i w „niektórych zawodach", więc, że wścibscy semici przeniknęli „do szeregu takich dziedzin, jak np. prasa i książka, teatr, muzyka i plastyka oraz kino i radio" — skąd trzeba ich usunąć. A najlepiej emigracja. Do Palestyny i gdzie się da. Dla pozostałych ograniczenia ustawowe „przez wprowadzenie ogólnych przepisów prawnych, dających możność selekcji z punktu widzenia interesów państwowych (?)". To znaczy: ghetto i numerus nullus. Wszystko bez bicia — szyb i ludzi. Antysemityzm na sucho. Ale każdy program antysemicki jest suchy, mokry głosi się tylko w nielegalnych świstkach ONR. Ostatnio p. Rutkowski ogłosił deklarację nowej swojej partii, która nosi przemiłą nazwę *Nora* (Narodowa Organizacja Radykalna). Nora chce też na sucho: „Żydzi muszą być pozbawieni praw politycznych i zamknięci w ramach życia własnego środowiska". Do tego ideału zmierzają w swej treści antysemickie tezy OZN. I przecież stopień „wilgotności" jest rzeczą drugorzędną. Rzeczą zaś istotną jest to, że trzon kierowniczy sanacji uważa konsekwentny i jawny antysemityzm za najlepszą platformę zjednoczenia skłóconych żywiołów antydemokratycznych pod swym sztandarem. Jak każda partia reakcyjna i antydemokratyczna, hołdująca „nowym" ideom, OZN z ujeżdżonej szkapy antysemickiej uczynił swego rumaka bojowego, na którym obok starszych, zasłużonych grup prawicowych wyjeżdża do walki z demokracją.

W oczach autorów ozonowych tez antysemickich znalazły łaskę tylko „poszczególne jednostki pochodzenia żydowskiego", którym wolno będzie poza murami przyszłego ghetta kontynuować swą dotychczasową działalność. Przecież w naczelnym organie Ozonu obok bardzo dawnych endeków, pp. Smogorzewskiego i Korab-Kucharskiego oraz świeższego ende-

ka, p. Stahla, pracują bardzo owocnie takie „jednostki pochodzenia żydowskiego", jak p. Florian Sokołów i p. Jan Otmar-Berson. A patronuje tej konsolidacji płk. Miedziński. Przecież w jednym z czerwoniaków czytaliśmy niedawno prymitywnie napastliwy artykuł antyczeski, którego autor, podpisany literkami *ab*, napewno nie mógłby pisywać w prasie niemieckiej, gdzie ustawy norymberskie stosowane są bardzo ściśle. Okazuje się, że dla popularyzowania polityki, obcej dążeniom przygniatającej większości społeczeństwa polskiego, nie trzeba wcale być aż pełnokrwistym, aryjsko-katolickim Polakiem z nazzwiskiem na „ski". Wystarczy być „poszczególną jednostką pochodzenia żydowskiego". Dobra robota — to grunt. A przecież i w Polskim Radio p. Krzewski niezłą robi robotę...

Tak, antysemityzm, to ostatni krzyk mody w środowiskach, głuchych i ślepych na to, co nurtuje najszersze warstwy narodu, te warstwy, które były, są i będą prawdziwą ostoją, mocnym fundamentem, najwierniejszą strażą Rzeczypospolitej, czynną bazą rzeczywistej, twórczej konsolidacji społeczeństwa. Antysemityzm jest językiem tych, którzy narodowi nic innego do powiedzenia nie mają, bo wiedzą doskonale, że wszelkie próby konsolidacyjne przez nich podjęte, przynieść mogą nie więcej, niż jeszcze jedno przegrupowanie w łonie tej samej zawsze grupy! I powołajmy się jeszcze raz na słowa tegoż *Rozdroża*, którego autorka tak oceniła ozonową konsolidację: „kiedy do tej konsolidacji staje, poza szczupłymi liczbą sferami zamożnych posiadaczy, część jednego tylko i to rozbitego wewnętrznie stronnictwa, a trzy czwarte narodu inteligentów, robotników i chłopów milczy, dziwi się lub opiera, to każdy uczciwy patriota musi dojść do wniosku, że coś szwankuje, że coś tu właśnie z punktu widzenia interesów narodowych, nie jest w porządku".

Bo narodu nie skonsoliduje się przez utworzenie jeszcze jednej partii antydemokratycznej, bo narodu nie zjednoczy się bez zapewnienia mu możliwości pełnego, swobodnego oddechu przy jednoczesnym zapewnieniu mu warunków dla szerokiego rozwoju jego sił duchowych i materialnych.

J. WĘGLIŃSKI

Z DNIA NA DZIEŃ

W SKUPIENIU DUCHA.

„Zielony Sztandar" zamieszcza sprawozdanie z konferencji prezesów powiatowych Str. Ludowego w Tarnopolszczyźnie. Nie obeszło się oczywiście bez różnych nadprogramowych perypetyj, będących od dłuższego już czasu codziennym chlebem działaczy ludowych. A oto wesołe zdarzenie, które — jak donosi Z. S. — wniosło nieco urozmaicenia do poważnego toku obrad:

„Przy sposobności warto przytoczyć pewien szczegół z owej konferencji tarnopolskiej. Odbywała się ona w wynajętej prywatnej sali. W szafie — jak się okazało — ukrył się ciekawski konfident. Ale trudno mu było przez kilka godzin wytrzymać bez ruchu. To też, kiedy z szafy zaczęły dochodzić podejrzane szmery i ruchy, uczestnicy konferencji w lot się zorientowali a jeden srogim głosem zawołał, że będzie strzelał do szafy. Był to oczywiście żart, ale „duch" zamknięty w szafie, przestraszył się i siedział cichutko, jak mysz pod miotłą".

Pewnie czekał na tramwaj.

„Wystarczyłby jeden szubrawiec"

W ostatnim „Zwrocie", znajdujemy rozważania „szarego obywatela" na temat niezwykle palący i aktualny. Nawiązując do informacji o subsydiowaniu przez władze niemieckie kilkuset wydawnictw zagranicznych, pismo pyta, czy nie ma takich wydawnictw i w Polsce.

„Chyba rząd niemiecki — pisze organ chrześcijańskiej demokracji „Zwrot" — pociąga raczej prasa co bliższych sąsiadów, chyba natężenie promieni łaski, rozchodzących się z Berlina, słabnie w stosunku do kwadratu odległości, jak uczy fizyka o wszelkich promieniach, rozchodzących się z jednego punktu.

Jeśli zaś tak jest w istocie, to czy srebrniki judaszowe nie torują sobie mętnych potoczków gdzieś w pobliżu nas?"

„Jak prowadziłoby — snuje dalej „Zwrot" swe uwagi — swą akcję ministerstwo propagandy, gdyby przez jakiegoś szubrawca uzyskało dyskretny dostęp do prasy polskiej; bo wystarczyłby nawet jeden tylko szubrawiec, — dalsze ogniwo mogliby stanowić nawet naiwni o najlepszych intencjach.

Więc akcję należałoby prowadzić stopniowo: rozpocząć od coraz dłuższych i coraz przychylniejszych wiadomości o stosunkach wewnętrznych Niemiec hitlerowskich, dalej konsekwentnie narzucać pojęcia polityczne, ustalone już w prasie niemieckiej (np., że wszystko, co gdziekolwiek przeciwstawia się hitleryzmowi, jest wyłącznie i bezapelacyjnie żydo-komuną, że Francja jest w przededniu upadku itp.), tuszować i tłamsić wiadomości o Gdańsku lub o losie Polaków w Niemczech, wreszcie zamieszczać entuzjastyczne już wprost artykuły Fuehrerze i podawać barwne apoteozy jego na tytułowych stronach czasopism ilustrowanych".

Zwraca uwagę na okoliczność dalszą. Oto „Pamiętamy jeszcze, jak to polityczne zgrupowania młodzieży za czasów zaborczych z trudem się zdobywały na wystąpienia, które by pociągnęły za sobą pewne wydatki. Środki tych ugrupowań były bardzo skromne, prawie żadne. Ba, „potężne" ówczesne organizacje, jakże oszczędnie szafowały groszem".

Dziś jest inaczej. „Nieliczne, napoły tajne koła mają na zawołanie i bomby, i środki techniczne w postaci gazów dymnych, motocykli i prasę własną i t. d.". „Czyżby dziś młodzież była bogatsza niż zwykle?" — pyta zdumiony „Zwrot". I sam odpowiada: „Chyba nie". I dodaje słusznie: „Różne wystąpienia tak są wzorowane na wystąpieniach berlińskich czy gdańskich, jakby w jednym sztabie były planowane..."

Kardynalski dwugłos

Irlandia ma nowego prezydenta. Został nim dr. Douglas Hyde — protestant. W związku z tym „Robotnik" doniósł:

„Katolicki prymas Irlandii kardynał Mac Rory oświadczył, że ludność katolicka Irlandii widzi chętnie na czele państwa człowieka innego wyznania, niż wyznanie ogromnej większości narodu irlandzkiego, ponieważ świadczy to o duchu tolerancji, który ożywia Irlandczyków. Zresztą prof. Hyde cieszy się ogromnym szacunkiem wszystkich swych współziomków".

Niemal jednocześnie „Nowa Rzeczpospolita" zamieściła list kardynała Baudrillart, wybitnego historyka i członka Akademii Francuskiej, znakomitego przedstawiciela francuskiej elity umysłowej. List ten, pełen prawdziwej życzliwości dla Polski, zawiera m in. takie słowa:

„Jedna rzecz mnie boli niekiedy: gdy słyszę, że niektórzy Polacy, powołujac się na mądrość polityczną i usprawiedliwioną przezornością, są gotowi uznawać u innych, a nawet niekiedy przejmować od innych zasady i sposoby postępowania, które ojcom ich i im samym tak krwawe zadawały cierpienia.

Wyzwoleni z wielkiej niesprawiedliwości, czyżby nie powinni, więcej niż kto inny, kochać sprawiedliwość i przyczyniać się do jej poszanowania? Ci, którzy tyle wycierpieli od przemocy, czyż mogą sobie z niej zrobić bożyszcze, przed którym powołując się na rozum, mieliby się uginać?".

Ten dwugłos książąt kościoła w zachodniej Europie, którym oczywiście nie można zarzucić ulegania wpływom „masonerii" i „żydo-komuny", budzi głębokie zadowolenie każdego, kto nie uważa szczytnych haseł człowieczeństwa za przestarzałe rupiecie. Ale jednocześnie wywołuje smutne refleksje, płynące z porównania tych pełnych odpowiedzialności i humanitaryzmu wystąpień irlandzkiego i francuskiego kardynała — z tym, co nie bez powodzenia głoszą w Polsce liczni, świeccy i duchowni zwolennicy Rosenberga i Goebbelsa.

Z siedziby Demokratów

W ramach ostatniego posiedzenia Klubu Demokratycznego w Warszawie wygłoszono referat zbiorowy p.t. „Mówimy o Czechosłowacji". Przemawiali kolejno pp. minister Ładoś, red. Rzymowski, red. Wieczorkiewicz i płk. Grzędziński.

Mówcy, przy aplauzie wypełniającej salę po brzegi publiczności, ostro potępiali stanowisko polskich pism filohitlerowskich, które, histerycznymi atakami na Republikę Czechosłowacką, wywołują nowe zadrażnienia i tak już zaognionej sytuacji.

Minister Ładoś scharakteryzował, w doskonałym przemówieniu, dotychczasowy rozwój stosunków polsko - czeskich. Wprawdzie moglibyśmy mieć pretensje do Czechosłowacji za jej stanowisko w okresie walk o niepodległość i ustalenie granic Rzeczypospolitej, ale obecnie musimy sobie zdać jasno sprawę z tego, że niebezpieczeństwo grożące Czechosłowacji dziś, jutro może się obrócić przeciwko Polsce. W obliczu tego argumentu giną wszelkie aktualne drobne konflikty, choćby nawet były rozdmuchiwane do absurdalnych rozmiarów przez ludzi złej woli.

Red. Rzymowski wysunął w swym związanym doskonale przemówieniu dezyderat, aby demokracja przejęła w swoje ręce te sprawy, które obecnie stanowią monopol jej wrogów. Nie wolno dopuścić, aby nieprzyjaciele wolności i pokoju szantażowali cały świat rzekomą chęcią uniknięcia konfliktu wojennego. Demokracja polska winna dobitnie akcentować to, że dążenia jej pokrywają się z interesem obrony kraju, dążenia zaś grup prawicowych i antydemokratycznych zagrażają bezpieczeństwu i całości Rzplitej.

Pozostali mówcy zobrazowali obecny stan rzeczy w Europie środkowej i w mocnych słowach, domagali się od czynników decydujących zajęcia wyraźnego stanowiska wobec sprawy czechosłowackiej.

Przemówień wysłuchał obecny na sali attaché prasowy Poselstwa Republiki Czechosłowackiej w Warszawie.

W IMIĘ HONORU WSZECHNICY.

Tysiączna rzesza studentów Wolnej Wszechnicy Polskiej, wzburzona kampanią osławionego I. K. C. przeciwko tej uczelni, zawiązała samorzutnie „Komitet Obrony Honoru Uczelni". Komitet ten wydał odezwę, z której najistotniejsze wyjątki przytaczamy poniżej:

„Koledzy i Koleżanki: Niesłychane w swej perfidnej obelżywości oszczerstwa I.K.C. przebrały wszelką miarę. Zaledwie przed paru dniami daliśmy wyraz swemu oburzeniu z powodu bezczelnych kalumnii, jakie się pod adresem Wolnej Wszechnicy Polskiej pojawiły w kryminalistyczno-detektywistycznym piśmidle krakowskim, a już dziś mamy nowy monstrualny płód bandyckiej rozhuśtanej wyobraźni.

Nie ma za ostrych słów na potępienie tego rodzju „roboty". I czy tylko słowa tu wystarczą...? Koleżanki i Koledzy w obronie honoru Uczelni musimy wystąpić zwarcie i solidarnie. Nie ma przeszkód, którebv dzieliły nas w tej kwestii Będziemy musieli zdecydować się na krok, który położy wreszcie kres bezprzykładnym napaściom na dobre imię naszej Uczelni, tak bardzo zasłużonej dla kultury polskiej.

Nie naszą jest winą fatalizm psychiczny chorego, który w każdym zdrowym dopatruje się objawów swego cierpienia. Nie naszą jest winą, że w oczach bandyty każdy napotkany człowiek jest bandytą. My nie chcemy być ofiarami nieuleczalnie chorej, kryminalistycznej wyobraźni detektywistycznych pismaków. Musimy zastosować takie środki obrony, które przemówią do zwyrodniałych gangsterów prasowych".

Dla zorientowania w „poziomie" owych „artykułów" I.K.C. Komitet przytacza urywki z numerów 16 i 23 maja br. i wzywa: „Koleżanki i Koledzy! Miara pismaków się przebrała: solidarnie wszyscy musimy zadokumentować, że nie pozwolimy dalej znieważać nas i naszą uczelnię."

Austriacka nauczka

Prasa codzienna donosi, że na terenie Austrii ogłoszono ustawy norymberskie, wyrzucające ludność żydowską poza nawias społeczeństwa i — że katolikom austriackim, wśród nich kardynałowi Innitzerowi, zabroniono wyjazdu na kongres eucharystyczny do Budapesztu. Naszym, żerującym na katolicyźmie, hitlerofilom i totalizatorom wszelkiego autoramentu nie przeszkodzi to nadal w apoteozowaniu antysemickiego i antykatolickiego faszyzmu, który po trzech miesiącach swych rządów w „wyzwolonej" Austrii potrafił wzburzyć przeciw sobie nie tylko zdawna antyhitlerowską ludność katolicką i socjalistyczną, ale i swych dotychczasowych zwolenników, rozczarowanych do narodowo-socjalistycznego „raju". Rozruchy w Wiedniu (jak i na terenie całej Rzeszy), przykrość, która spotkała marsz. Goeringa podczas zwiedzania jednej z fabryk wiedeńskich — to pierwsze, groźne dla faszyzmu oznaki wrzenia ludowego w spacyfikowanej tak niedawno Austrii. Rozgorączkowym totalizatorom wypadki austriackie powinny dać wiele do myślenia, a na entuzjastów, przypadkowo odurzonych faszyzmem, powinny oddziałać jak strumień zimnej wody.

Obce róże szczepione na krajowych dziczkach

W ostatniej „Czerwonej Róży" p. Tadeusz Lutosławski pisze o „zjednoczeniu narodowym". Zjednoczenie takie, zdaniem autora, jest możliwe tylko pod hasłami negatywnymi, pod hasłami walki przeciw komuś lub czemuś, „przeciw widocznemu przeciwnikowi". W Ameryce takim przeciwnikiem było gangsterstwo, jego wcieleniem John Dillinger. Nie chodzi bynajmniej o Johna Dillingera, chodzi o zyskanie mas dla walki z nim, oczywista pod wodzą samozwańczej „elity". Dosłownie: „To, że John Dillinger zostanie ujęty żywy lub martwy, nie jest bynajmniej najważniejszym wynikiem akcji, albowiem pozyskanie społeczeństwa dla walki z gangsterstwem, względem której bywało ono obojętne, ma nierównie większą wartość ogólną". Chyba jasne. Chodzi o „zyskanie społeczeństwa". Właśnie o zadanie, które tak trudno rozwiązać Ozonowi. P. Lutosławski szuka więc „wroga Nr 1"! Oto opis poszukiwanego wroga:

„Wróg Nr 1 powinien być wybrany w ten sposób, aby przeciwko niemu mogła się zjednoczyć olbrzymia większość społeczeństwa. Nie może on być jednak pojedyńczym człowiekiem, ani też grupą śmiesznie małą, bowiem nie miałoby sensu wybrać poprostu kogoś na ofiarę, aby tylko było przeciwko komu walczyć. Ponadto powinien on być wyraźnie zdefiniowany. Dlatego walka przeciwko np. konserwatystom jest trudniejsza, niż przeciwko, powiedzmy, kamienicznikom, — bowiem z konserwatysty można stać się łatwo radykałem, zaś z kamienicznika trudno jest zostać biedakiem bez licytacji i wielu innych formalności".

Wreszcie wróg ten powinien być jaknajbardziej konkretnym, „widocznym i namacalnym przeciwnikiem".

P. Lutosławski nie precyzuje, kogo należy wysunąć na „wroga Nr 1". Polski. Ale czy nie jest jasne, że chodzi tu o teoretyczno-psychologiczną motywację prymatu hasła antysemityzmu? Antysemityzmu właśnie, nie zaś n.p. antykomunizmu, (przykład z konserwatystami!) ani antymasonizmu („grupa śmiesznie mała"). Żydzi są tu w sam raz: nie za dużo ich, nie za mało, są wyraźnie zdefiniowani (od czego badanie prababek). Są „namacalni", zwłaszcza pałką. P. Lutosławski daje teoretyczne sformułowanie do zgoła nie teoretycznego zamiaru „narodowych piłsudczyków" wyjechania na popularności do rządów. Ale trzeba przyznać, że sformułowania jego są, w Polsce przynajmniej, nowe dzieki swej szczerości. Sprawa stoi jasno: „elita" chce zdobyć „rząd dusz" i szuka hasełka, dzięki któremu to osiągnie. Wybiera je starannie, podług wszelkich zasad, sui generis faszystowskiej psychologii stosowanej. Potem będzie się nazywało, że to głęboka potrzeba narodu.

Napisaliśmy: sformułowanie nowe w Polsce. Bynajmniej zaś nie gdzieindziej. Bo oto „Der Deutsche in Polen", ciekawy, żywo redagowany organ katolików niemieckich w Polsce streszcza rozmowę korespondenta pisma szwedzkiego „Svenska Morgenbladet" z jednym z przywódców hitlerowskich. Dziwnie znajome tony, jakby zapożyczone od p. Lutosławskiego.

„Masa musi mieć objekt nienawiści, — klaruje hitlerowiec Szwedowi. — Niełatwo rozpętać masową nienawiść. Na tym właśnie polega genialność Streichera. Człowiek, zwyczajny, szary człowiek z ulicy, nienawidzi tego, kto mu zabiera pieniądze, lub kto mu zabiera kobietę. Streicher wbija masom w głowę: Żyd zabiera ci pieniądze, Żyd zabiera ci kobietę. To nieprawda? Pewnie, że tak. Ja też w to nie wierzę. Streicher również w to nie wierzy. Ale musimy mieć masy za sobą. To co mówimy, to nie są kłamstwa. To produktywne mity. Mit, to świadomie jednostronne hasło, które planowo wbija się w głowę masie, aby wywołać u niej gotowość do czynu, miłość lub nienawiść, które można wykorzystać politycznie. Mit to nie prawda. Mit to środek zmienienia rzeczywistości".

Czy to nie słowo w słowo, teoria p. Lutosławskiego? To samo planowe operowanie zniekształceniem rzeczywistości, planowym kłamstwem, jako środek panowania „elity", która „musi mieć masy za sobą", by je tym lepiej okiełznać, osiodłać i ujeździć?

A swoją drogą, jak ubodzy są ci „narodowi piłsudczycy"! Nawet swą teorię psychologii społecznej muszą sprowadzać z Berlina. Nie ma co, „narodowe" towarzystwo! Ale sprowadzają ją dopiero po śmierci Józefa Piłsudskiego, bo wtedy widocznie trzeba było dopiero się nazwać „narodowymi" piłsudczykami.

Spisek ciemnoty działa

Wolna Wszechnica Polska wywodzi się bezpośrednio z sławnych Wyższych Kursów Naukowych, które, jak wiadomo, wyłoniły się na progu naszego stulecia z tajnego Uniwersytetu Latającego. W rodowodzie tej zasłużonej uczelni, która zwycięsko przez wiele lat opierała się carskim tendencjom zdegradowania umysłowości polskiej, błyszczą najpiękniejsze nazwiska uczonych i myślicieli z Marią Skłodowską-Curie, J. Wł. Dawidem, Piotrem Chmielowskim i Wacławem Nałkowskim na czele. Listę członków honorowych Wolnej Wszechnicy Polskiej uświetniają imiona Józefa Piłsudskiego, Ludwika Krzywickiego, Władysława Grabskiego, Stanisława Kalinowskiego i Teodora Viewegera, pełniącego od wielu lat czynności rektora tej uczelni.

Zdawałoby się więc, że Wszechnica, uznana przez władze i korzystająca dziś z pełni praw państwowych, a nadto legitymująca się półwiekową chlubną tradycją zmagań i pełnej poświęcenia pracy dla dobra nauki i kultury polskiej — ma dość tytułów, ażeby w Wolnej Rzeczypospolitej cieszyć się pełnią uznania i poparcia.

Z odezwy przytoczonej na str. 7, a wydanej przez Komitet studencki „Obrony Honoru Uczelni" czytelnicy dowiedzą się, że jednakże znalazło się pismo, które nie mogąc się sprzeniewierzyć swojej naturze i przezwyciężyć zastarzałych nałogów „Tajnego Dedektywa" szuka dla siebie połowu w okolicach Wszechnicy. Pracując własnymi metodami otworzyło już kanały sensacji, usiłując w wstępnych swoich czynnościach znieważyć zasłużoną placówkę.

Jakich to pretekstów szuka osławiony I.K.C. do rozpętania skandalu? Oto naprzód, że „Wolna Wszechnica za często przewija się w biografiach bohaterów procesowych (sprawa Michalskiego o defraudacje, który był studentem Wszechnicy i nawet jej nie skończył), oto, że „jest to uczelnia o nieokreślonym charakterze, przyjmująca i wypuszczająca niedouczków", oto, że „uczęszczanie na wykłady Wolnej Wszechnicy to nic innego, jak fałszywy bilet wstępu do kręgu ludzi z wyższym wykształceniem — nabywany masowo przez różnego rodzaju niedouków".

„IKC", owo uosobienie cnót moralnych, za które od lat kilku tkwi pod bojkotem całego świata umysłowej pracy, — występujący dziś w roli Katona— toż to widowisko! „IKC" z oficyny „Tajnego Dedektywa" orzekający wyniośle o poziomie naukowym Wszechnicy, — cóż to za tytuł chlubny dla wszystkich naszych ośrodków wiedzy i rozumu!

Ale pod tym wszystkim kryją się rzeczy zgoła inne. Spiskowcom ciemnoty sen spędza z powiek niczem niezamącona powaga, która panuje na Wszechnicy, jak to przystało w przybytku wiedzy. Kształci się tam tysiączna rzesza urzędników i nauczycieli, z pośród których nie dało się zmontować ani jednej bojówki, nie dało się wywołać w aulach ani jednej rozprawy żyletkowej, niczem w zakazanych zaułkach wielkiego miasta. Ku zgorszeniu nosicieli mroku i orędowników zdziczenia w murach wyższych uczelni, trwa na Wszechnicy ciągłość pracy i sprawnie działają koła naukowe. Ale, co gorsza, co drugi lub trzeci słuchacz Wszechnicy nosi odznakę przynależności do Z.N.P. A Z.N.P., który swego czasu przyczynił się walnie do położenia kresu dochodom, ciągnionym z „Tajnego Dedektywa" nie może liczyć na amnestię w krakowskim „Pałacu Prasy".

Telepaci...

Dziwne bywają niekiedy powody oburzenia i gniewu naszych niektórych nacjonalistów. Dziwna też bywa czasem zbieżność, pomiędzy ich upodobaniami i upodobaniami prasy berlińskiej.

Oto kilkanaście dni temu niemiecka prasa hitlerowska przypuściła szturmowy atak na obecnego francuskiego ministra kolonii p. Mandel. Donosi o tym w telegramie z daty 20. maja „Nowa Rzeczpospolita" daleka chyba od „Fołksfrontu". Organ Frontu Morges przypomina zgodnie z prawdą, że min. Mandel (reakcjonista) jest wprawdzie pochodzenia żydowskiego, ale stanowisko ostro antyniemieckie zajmuje bynajmniej nie od zwycięstwa rasizmu, lecz co najmniej od r. 1914, że w czasie wojny był najbliższym współpracownikiem Clemenceau, że w parlamencie francuskim zasiada razem z p. Chiappe na skrajnej prawicy.. Pismo słusznie określa ten nagły atak na min. Mandela jako odwet niemiecki za przeforsowanie przezeń wzmocnienia francuskich sił kolonialnych o 70.000 ludzi. Wzmocnienie to bowiem w sposób zgoła dotkliwy krzyżuje afrykańskie plany włoskiego wspólnika Niemiec.

Wszystko to donosi „Nowa Rzeczpospolita" w depeszy z Paryża, datowanej dnia 20. maja. A oto równocześnie, tegoż samego dnia, „ABC" z dn. 20. maja pomieszcza olbrzymi, niemal na całą stronę artykuł, przeciw ministrowi Mandelowi. „Bezpośrednich interesów międzynarodowego żydostwa broni min. kolonii Jerzy Mandel... P. Mandel będzie reprezentować w gabinecie p. Daladier interesy swego rodu i rasy, nie dobro narodu, którego obywatelstwo posiada". — Oto kwintesencja długiego elaboratu, poświęconego min. Mandel.

Postawmy pytanie: czy doprawdy tylko przez jakąś ślepą pasję organ polskich „narodowców" reaguje wybuchem gniewu na wzmocnienie sił zbrojnych Francji? Rozumiemy ten wybuch u redaktora „Angriffu". Ale czym, zdaniem pp. z „ABC" wzmocnienie armii sojuszniczej Francji może grozić Polsce? W imię czego więc i pocóż równocześnie z całym aparatem prasowym p. Goebbelsa uderza „ABC" w ten sam ton?

„Nie, nie i nie"

Dni ciężkiej próby nawiedziły Czechosłowację. Naród, który wydał Husa i Hieronima z Pragi, Jana Żiżkę, Palacky'ego i Masaryka — stanął dziś znowu, jak przed wiekami na reducie prawa i wolności, zagrożonej — jak wówczas — przez napór potężnych sił zaborczych. I jak wówczas, tak i dziś pewne czynniki wewnątrz kraju, inspirowane i subsydiowane z zagranicy, usiłują rozsadzić od środka spójnię państwową, która jest solą w oku wrogów pokoju i demokracji. Jeżeli od północy, zachodu i poł. zachodu grozi ten sam wróg, któremu przed pięciuset laty zwycięsko stawiała czoło husycka armia Czech ludowych i patriotycznych, to od południowego wschodu, z nad Cisy i Dunaju drapieżna dłoń magnatów węgierskich sięga po ziemie słowackie i karpacko-ruskie, by z powrotem zgiąć karki chłopa tamtejszego w stare jarzmo feodalne.

Stanowisko całej niezależnej prasy polskiej w tej sprawie było, jest i będzie zupełnie jednolite i niedwuznaczne. W głosach szczerej sympatii i niekłamanej życzliwości, jakie polska prasa demokratyczna poświęca wydarzeniom czechosłowackim, manifestuje się wyraźna i stanowcza postawa naszego społeczeństwa. W ciągu tych dramatycznych dni, które przeżywa Czechosłowacja, można było stwierdzić całkowitą niemoc i zupełne odosobnienie hitlerofilstwa polskiego w „terenie", gdzie prasa inspirowana i zależna nie znalazła posłuchu ani oddźwięku. Z prawdziwym zadowoleniem powitano u nas twarde i stanowcze zarządzenia rządu dra Milana Hodży, **Słowaka** - patrioty, który kieruje obroną demokratycznej republiki, wspólnego dobra obu zjednoczonych narodów. Z niemniejszą radością powitała patriotyczna opinia polska zwycięstwo wyborcze demokracji w Pradze, gdzie faszyzm został pobity na głowę, wyniki wyborcze w Sudetach, gdzie daleko mu do tego monopolu, którym się chlubił i wreszcie wielką klęskę wyborczą madziarońskiego, tęskniącego do Budapesztu stronnictwa Hlinki na Słowaczyźnie. Czechosłowacja powiedziała głośno i dobitnie, komu należy: będziemy bronili niepodległości do ostatniej kropli krwi! I nie przypadkiem chyba słowa te rzucone zostały przez prez. Benesza w Taborze, miejscu wsławionym bohaterską epopeją walk niepodległościowych przed 500 laty! Bo, jak pisał w **Kurierze Warszawskim** gen. Sikorski — „poczucie godności narodowej i interesu narodowego podyktować by musiało stanowczo Czechom podjęcie rękawicy, gdyby im była ona rzucona. Albowiem stokroć lepiej dla przyszłości narodu nawet ulec z bronią w ręku a więc z honorem w nierównej walce, aniżeli poddać się bez żadnego oporu".

Ściśle formułuje opinię polską „Kurier Warszawski":

„Naród polski na wszelkie zamysły szarpania państwa czechosłowackiego na rzecz Niemiec odpowie zawsze: nie, nie i nie!"

ŚWIĘTO WIOSNY I LUDU.

W dniu dzisiejszym chłopi całej Polski zamanifestują pod zielonym sztandarem nieugiętą postawę demokratyczną najszerszych rzesz ludowych, które stanowią rdzeń i fundament narodu. Głos Stronnictwa Ludowego, który rozlegnie się w Zielone Święto chłopskie, będzie głosem całej demokracji, stanowiącej olbrzymią większość obywateli Rzeczypospolitej. Będzie głosem głębokiej, patriotycznej troski o przyszłość kraju, która leży nie w takich czy innych kombinacjach osamotnionych w społeczeństwie grup reakcyjnych, lecz w powierzeniu losów Rzeczypospolitej wiernym i odpowiedzialnym dłoniom prawowitego Jej współgospodarza — Ludu. Dla tego w dniu tym obóz demokracji miejskiej z rzeszą robotniczą i pracowniczą na czele, wraz z awangardą polskiego świata naukowego i artystycznego, łączy swe uczucia z wielomilionową rzeszą chłopską. Mózg i dusza narodu po stronie demokracji! Z demokracją polską — polski lud!

„Mam moralne prawo protestować"

Feliks Młynarski, autor wielu gruntownych rozpraw naukowych, delegat Polski w Komitecie Ekonomicznym Ligi Narodów, ogłosił świeżo broszurę p. t. „Totalizm czy demokracja w Polsce". Ze względu na świetną rzeczowość argumentacji i tyleż jasne, co głębokie uzasadnienie założeń współczesnej demokracji, a także ze względu na druzgocącą krytykę głównych tez totalizmu — przytaczamy poniżej niektóre fragmenty tej pracy, owianej duchem płomiennego patriotyzmu.

EPOKA

Motto: „Mam moralne prawo protestować, gdy patrzę na próby czynienia z tradycji legionowej motoru pociągowego dla totalizmu. Próby takie są sprzeczne z duchem całej akcji niepodległościowej, rzucają cień na sztandary czynu legionowego i dla przyszłości Polski stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo na dłuższą metę".

FELIKS MŁYNARSKI.

Rdzeń siły politycznej.

..Za totalizmem nikt poważny nie ma odwagi wypowiedzenia się. Przede wszystkim zaś przeciw totalizmowi i za demokracją opowiadają się masy ludu polskiego, stanowiącego rdzeń naszej siły politycznej. Nie tylko się opowiadają, ale w imię swego ideału politycznego stają do walki, nie szczędząc niczego.

Totalizm jest doktryną wszechwładzy państwa, spychającą pojęcie narodu na drugi plan. Tymczasem w naszej świadomości żywo tkwią jeszcze wspomnienia walk o niepodległość. Zarówno demokratyzacja, jak unarodowienie ludu polskiego dokonały się w łonie państw zaborczych. Kto, jak nie naród, był tym, który krwawił się i trudził w celu odzyskania własnego bytu państwowego. Z wysiłków narodu w dobie koniunktury światowej zrodziło się państwo, nie zaś odwrotnie".

Ambicja własnej twórczości.

„Czy nie ubliżałoby naszej godności uleganie totalistycznej propagandzie, będącej owocem obcej ziemi i obcego ducha? Czy zawsze mamy być tylko „pawiem i papugą" narodów? Czy wolno wmawiać w naród polski, że nie dorósł jeszcze do demokracji parlamentarnej? Czy gorsi jesteśmy od Czechów czy innych narodów, które z powodzeniem kierują losami swych państw przy pomocy demokratycznych urządzeń? Czy nie demokracja była sztandarem wszystkich powstań i czynu legionowego?

Na powyższe pytania masy odpowiadają odruchowo: nie ma w Polsce miejsca na totalizm dobrowolnie przyjęty, a przed narzuceniem go należy się bronić.

Parcie od dołu na rzecz powrotu do demokracji ma zdesztą dodatkowe uzasadnienie. W niepodległej Polsce system demokracji parlamentarnej trwał zaledwie siedem lat, wliczając okres wojny bolszewickiej. Okres zbyt krótki, aby społeczeństwo mogło się wyładować w tych formach ustrojowych i przesycić czy zmęczyć wolnością obywatelską. Wyszedłszy zaś z wiekowej niewoli, mamy — jako naród — szczególnie silny pęd do udziału w życiu publicznym i ambicję odpowiedzialności za losy państwa."

Wielkomongolska idea wodza.

„W perspektywie dziejowej koncepcja ustrojowa totalizmu przedstawia się jako synteza antycznej formy pojmowania państwa i stepowej, wielkomongolskiej idei wodza. Wojna światowa przygotowała grunt dla takiej syntezy, ponieważ zmilitaryzowała walczące narody na kilka lat, nauczyła je chodzić w ordynku i słuchać komendy.

Z punktu widzenia wszechwładnego państwa, które nie zna i nie może uznać żadnych granic dla swojej interwencji, każdy totalizm musi w logicznej konsekwencji odrzucać tradycyjne pojęcie wolności politycznej obywatela.

Totalizm odwraca myśl o wolności i twierdzi, że wolność „nie jest prawem, lecz obowiązkiem". Wolność przestaje być sumą praw, a zaczyna być wyłącznie sumą obowiązków. Nie wszystkich jednak obowiązków, bo jednego, bardzo ważnego, obowiązku udziału w tworzeniu praw i nadzorowaniu ich stosowania, obywatel państwa totalnego nie ma i mieć nie może."

Wolność utożsamiana z posłuszeństwem.

„Totalizm jest koncepcją prawa politycznego, konstytucyjnego, nie zaś prawa administracyjnego. Tylko nieuk, pozbawiony zdolności ścisłego myślenia, może mieszać jedno z drugim. W państwach zaś totalnych miesza się świadomie, aby zamaskować zamach na zdobyte w XIX w. prawo człowieka do czynnego udziału w życiu państwowym, a więc do udziału w tworzeniu praw i nadzoru nad ich stosowaniem. Totalizm z reguły odbiera obywatelom to istotne dla nich prawo i dlatego tradycyjna definicja wolności, jako sumy praw, nie daje się godzić z totalizmem. Wolność musi być utożsamiana z posłuszeństwem. Czym się taka wolność różni od niewoli?"

Jednolicie kierowana wola.

„U nas dodatkowym źródłem dezorientacji na korzyść totalizmu kosztem tradycyjnej demokracji stała się, niestety, głośna zasada „jednolicie kierowanej woli narodu". Najlepsze intencje inicjatorów konsolidacji pod tym hasłem nie mogą przede wszystkim zrównoważyć faktu, że sama zasada jest nielogiczna. Jednolicie kierowana wola narodu przestaje być wolą tego narodu, a może być tylko wolą tego, który kieruje. Zasada jednolicie kierowanej woli narodu jest wobec tego koniem trojańskim, w którego wnętrzu kryje się postulat kierującego wodza. Dowodzi to totalistycznego charakteru samej zasady. Dalszym potwierdzeniem jest metoda organizacyjna, stosująca wyłącznie nominację z góry i wymagająca dyscypliny wojskowej w działalności cywilno-politycznej. Połączenie zaś jednolicie kierowanej woli narodu z taką metodą z natury rzeczy prowadzi do negacji innych prób konsolidowania narodu, do monopolu pod tym względem, co równa się postulatowi monoobozu. Mamy tu, wyraźną sprzeczność z konstytucją, która obiecuje „swobodny rozwój" życia społecznego i w „twórczej „jednostce" widzi dźwignię życia zbiorowego.

Nie wiem, czy inicjatorzy, ludzie najlepszej woli, zdawali sobie sprawę z totalistycznego charakteru swojej koncepcji. Nie jest wykluczone, że zdołano w nich wmówić coś przeciwnego. Nie ma to jednak znaczenia.

Każdy zdaje sobie dzisiaj sprawę z paradoksu, że

konstytucja kwietniowa jest spokojniej tolerowana przez opozycję, niż przez niektóre koła obozu pomajowego. Pewien dualizm władzy, który dezorganizuje porządek polityczny pomimo lub wbrew konstytucji kwietniowej, jest zatrutym owocem zamaskowanych tendencji totalistycznych. I dlatego, pomimo zdecydowanie antytotalistycznego nastawienia narodu, pomimo najwyraźniejszej woli tego narodu pod tym względem, usiłuje się tą wolą pokierować inaczej."

Zasada równości moralnej.

„Demokracja jest ustrojem, który rozszerza na ogół odpowiedzialność obywateli za bieg spraw politycznych. Władza państwowa jest w tych warunkach delegacją kompetencji, nie może zaś być przywilejem czy własnością osób, tę władzę sprawujących... Punkt ciężkości leży w zasadzie równości moralnej wszystkich członków społeczeństwa narodowego do udziału w życiu pubilcznym i wspólnej odpowiedzialności za wspólność losu na przyszłość.

Przez rozwój urządzeń demokratycznych i pełny udział członków narodu w życiu publicznym podnosi się wychowanie narodowe, krzepną cnoty obywatelskie. Pozwala to stopniowo doskonalić urządzenia demokratyczne w imię interesu publicznego. Obowiązek jest coraz powszechniej spełniany nie tyle na rozkaz, ile z wewnętrznego, autonomicznego przekonania. Władza wspiera się nie tylko na pałce policyjnej, ale przede wszystkim na żywej moralności narodowej."

W imię honoru i prawdy.

„Wmawianie w szarego człowieka, że naród polski nie dorósł jeszcze do samorządu demokratycznego, jest karygodnym wmawianiem kompleksu niższości i godzi w honor narodu, mającego za sobą tysiąc lat historii! Tak czynić może tylko człowiek, ogarnięty duchem najgorszego z najgorszych partyjnictwa. Wmawianie bowiem kompleksu niższości w naród polski musi podcinać wiarę we wałsne siły. Szkoła życia publicznego zwęża się wówczas do względnie szczupłego grona wybranych, które aroguje sobie prawo do monopolu władzy, aby wyręczać rzekomo niedojrzałe społeczeństwo. Państwo zaczyna być rządzone metodą sprzysiężenia. Prywata rządzącej grupy urasta do godności zasady. W takich warunkach naród nie może się jako masa rozwijać należycie szybko i z konieczności słabnie w międzynarodowym wyścigu. Czy można zaś budować trwałą moc państwa na słabości narodu? Tutaj tkwi punkt ciężkości naszych wieloletnich niepowodzeń, zaniedbań i opóźnień.

Nie ma dzisiaj w Polsce nikogo z jasną głową i żywym poczuciem honoru narodowego, kto nie widziałby, że z zasadą monopartii zerwać jak najrychlej należy. Przeciw totalizmowi jest masa naszego narodu. Narzucanie totalizmu przez nacisk z góry będzie budowaniem od dachu i załamać się musi. Rzetelny patriotyzm dyktuje każdemu jedno, jedyne wyjście: nawrót do zasady demokracji.

W cywilizacji łacińskiej wychowywały się od lat tysiąca wszystkie nasze pokolenia. Polska ludowa, a więc demokratyczna, była modlitwą naszych ognisk powstańczych w czasach niewoli. Nie inna Polska, lecz Polska, rządzona na zasadach i metodami demokracji, była sztandarem czynu legionowego.

Kto to pojmie, ten się zbudzi. Dokona wyboru stanowczego między totalizmem a demokracją."

Szczyty inteligencji z ludem

Cykl artykułów w „Gazecie Polskiej" na temat tragedii hiszpańskiej, nasunął mi pewne wątpliwości, których poruszenie c o r a m p u b l i c o nie będzie może rzeczą bezpożyteczną.

Sprawa pierwsza: Najogólniejszą konkluzją, wypływającą z toku rozumowania w rzeczonych artykułach jest twierdzenie, że praprzyczyną wydarzeń, rozgrywających się obecnie na półwyspie iberyjskim, należy widzieć w przeniknięciu wpływów stalinowskich za pirenejską barierą.

Aczkolwiek sądzę, że naczelne osobistości, biorące udział w procesie historycznym, nie określają go bynajmniej zasadniczo, istotnie i rozstrzygająco, nie mniej wydaje mi się rzeczą jasną, że muszą one do pewnego stopnia wyznaczać charakter rozgrywek, którymi kierują.

Wiadomo powszechnie, że jednym z głównych (jeśli nie najgłówniejszych) inspiratorów „powstania" gen. Franco jest p. Juan March, przemysłowiec i finansista „najbogatszy człowiek Hiszpanii".

Po bliższe informacje odnośnie jego osoby warto doprawdy sięgnąć do... „Gazety Polskiej" z dnia 9 sierpnia 1934 roku. Oto Juan March był najpierw małym przemytnikiem. Po latach został właścicielem pewnej liczby okrętów. Jego flota staczała — nieprawdopodobne, zdawałoby się, w XX wieku — boje z marynarką Alfonsa XIII. Rząd królewski uważał w końcu za stosowne zawrzeć z p. Marchem pokój. W zamian za zrezygnowanie z rozbójnictwa morskiego ofiarowano mu kolonialną koncesję tytoniową. Zuchwały pirat przyjął warunki. Wiedział, co robi. Z milionera został w ciągu krótkiego stosunkowo czasu miliarderem. Opanował marynarkę państwową Hiszpanii. Skorumpował hiszpański aparat administracyjny. „Podporządkował sobie prawie wszystkich kierowniczych polityków wszelkich stopni i przez lat jedenaście kierował polityką hiszpańską". To ostatnie zdanie pochodzi od człowieka bardzo kompetentnego: b. ministra finansów Hiszpanii, p. Cambo.

Miodowe lata Marcha skończyły się jednak wraz z upadkiem monarchii Alfonsa XIII. Ex-rozbójnik nie chciał się pogodzić z regimem republikańskim. Wówczas to „nieposzlakowanie uczciwy i pełen najpiękniejszych uzdrowieńczych zamiarów, lecz bardzo szybko usunięty „minister finansów, Carner, powiedział wręcz proroczo: „Albo Republika pokona Marcha, albo March pokona Republikę".

Na razie — dosyć chyba? Kto zresztą chciałby poznać dalsze koleje losów hiszpańskiego „króla tytoniu" (zwanego też „królem Balearów"), niech sobie przeczyta frapujący artykuł wstępny we wzmiankowanym wyżej numerze „Gazety Polskiej", pióra jej madryckiego korespondenta p. Gabacho.

Nasuwa się zasadnicze pytanie, które rozmaicie można sformułować:

Kto naprawdę ponosi odpowiedzialność za wybuch wojny: „Komuniści“ czy klika feodalno-kapitalistyczna z Juan'em Marchem na czele? W czyim najbardziej bezpośrednim interesie leżało wywołanie tej wojny? Czyj stan posiadania był przez rządy ludowe najbardziej zagrożony? I kto najsłuszniej może zostać nazwany elementem destrukcyjnym Republiki: partie lewicy czy ten „król Balearów“ (och, doprawdy, wszystko jedno: hiszpańskich czy włoskich!)?

Sprawa druga:

Kto ma za sobą człowieka w Hiszpanii? Która z walczących na półwyspie iberyjskim stron reprezentuje wolę Hiszpanów?

Zajrzyjmy do „Gazety Polskiej“ z dnia 22 sierpnia 1936 roku. W artykule pod tytułem „Armia hiszpańska w wojnie domowej“, podpisanym literami K. R. Z., znajdziemy stwierdzenie, że po jednej stronie frontu: „...powstańcy formują pospiesznie ochotnicze oddziały faszystowskie, falangi i karlistów, których wartość bojowa nie stoi jednak zbyt wysoko“.

...a po drugiej stronie: „...gros sił, najbardziej oddanych rządowi, stanowią masy robotnicze — czerwona milicja, źle uzbrojona, niezdyscyplinowana, lecz ofiarna i pełna zapału“.

Wydaje się, że te dwa krótkie zdania mówią bardzo wiele. „Niska wartość bojowa“ faszystów — to ich niska „morale“. „Ofiarność i zapał“ armii ludowej — to jej „wysoka wartość bojowa“. Ktoś bardzo chyba kompetentny w tym względzie powiedział przecież:

„Podstawą armii jest dusza prostego żołnierza; dopóki dusza ta jest silna, armia wytrzymuje dolę i niedolę, gdy dusza ta się załamie — upadek armii jest nieuchronny“.

Nic nie wskazuje na to, aby złamać się miała dusza żołnierza hiszpańskiej armii ludowej. Sytuacja na półwyspie iberyjskim nie uległa w ogóle żadnym zasadniczym zmianom od czasu, gdy p. K. R. Z., autor cytowanych wyżej urywków pisał: „...uporczywe, powtarzające się wiadomości każą przypuszczać, że neutralność ...ze strony pewnych państw, sprzyjających powstańcom nie była przestrzegana. Tym też prawdopodobnie należy sobie tłumaczyć ostatnie duże sukcesy powstańców, co zresztą szeroko rozgłasza prasa lewicowa Francji, żądając okazania pomocy rządowi Frontu Ludowego Hiszpanii. W każdym razie wszystko wskazuje na to, że walka potoczy się dalej, zażarta, na śmierć i życie“.

Istotnie: wydaje się walka „dwóch wrogich sobie obozów faszystowskiego i demokratycznego“ (ciągle ten sam artykuł „Gazety Polskiej“!) toczyć się będzie za Pirenejami długo jeszcze. Po prostu dlatego, że przewaga techniczna „powstańców“ nie równoważy przewagi moralnej broniącego się ludu. A zważywszy, że przecież, jak zawsze i wszędzie, zdecyduje w Hiszpanii c z ł o w i e k, — czy nie lepiej powstrzymać się od entuzjazmu dla profaszystowskiego „rozsądku“ i „realizmu“ Chamberlainów?

Sprawa trzecia: Kiedy przed paru laty, „Gazeta Polska“ zaczęła drukować w odcinku „Dolę człowieczą“ Malraux, było się jej niekłamanie wdzięcznym za możność poznania tego kapitalnego dzieła. Ale od owych dobrych czasów upłynęło już (jak to słusznie zauważył ostatnio p. Mussolini) dużo wody w Tybrze — a także i w Wiśle, Malraux napisał „Czasy pogardy“ i „Nadzieję“. „Nadzieja“ nie została jeszcze przetłumaczona na język polski. Nie jestem utopistą. Nie wierzę, aby mogła pójść w odcinku teraźniejszej „Gazety Polskiej“. Nawet gdyby Mauriac napisał do niej znowu tak piękną przedmowę, jak do „Doli człowieczej“.

A szkoda, — wielka szkoda. „Nadzieja“ jest bowiem nie tylko nowym arcydziełem Malraux, nie tylko nowym arcydziełem prozy francuskiej, lecz także najcenniejszym dokumentem pisarskim tragedii hiszpańskiej, która rozgrywa się przed naszymi oczami. Być może, nie powstanie już drugi epos, odtwarzający walkę z rebelią Franco równie szczerze, równie głęboko i równie potężnie. Stoi Malraux całym sercem i wszystkimi siłami po stronie Hiszpanii Ludowej. Jak zresztą, ogromna większość intelektualistów francuskich.

Nie tylko francuskich. Hiszpańskich także. Hiszpańskich — nade wszystko. Leży oto przede mną druga z kolei wydana przez nich odezwa. „Los intelectuales espanoles por la victoria total del pueblo“ — głosi tytuł na okładce. Doprawdy, nie wiele brak tu nazwisk, które stanowią chlubę Hiszpanii współczesnej. Pablo Picasso, Jacinto Benavente, Antonio Machado, Juan Ramon Jimenez, Victorio Macho, Pio del Rio Hortega, Pedro Bosch Gimpera, Juan Madina Veitia, Ignacio Bolivar, Pompeyo Fabra — wszyscy oni położyli podpisy pod tym apelem do własnego narodu i opinii całego świata. Wierzą niezłomnie w ostateczne zwycięstwo Hiszpanii — „zdradzonej obecnie i niszczonej najazdem“.

Czemuż to „narodowy“ obóz gen. Franco nie przyciągnął ku sobie kwiatu umysłowego swego kraju? I czy ci uczeni, artyści i pisarze, którzy podpisali manifest, są także tylko nieświadomym narzędziem „gry Stalina“? Lud hiszpański, „ofiarny i pełen zapału“, uległ, powiedzmy, „zarażeniu miazmatami“. Ale tych, którzy reprezentują szczyty jego inteligencji, chroni wszakże przeciw wszelkim odmianom umysłowych epidemii pewnego rodzaju odporność nabyta: krytycyzm czy intuicjonizm, zaostrzona zdolność obserwacji, czy zmysł historyczny.

Intelektualiści hiszpańscy są ze swoim ludem. Jakże potraktowaćby mogli próbę przedstawienia ich w roli Kominternowskiego manekina? Jedynie jako wybieg, jako chęć zatarcia właściwej linii podziału, biegnącej ognistą linią hiszpańskiego frontu przez serca i mózgi nas wszystkich. Jako chęć przyczepienia etykietki komunistycznej całemu obozowi demokracji.

Niestety, wydaje mi się, że ostatni cykl artykułów „Gazety Polskiej“ usprawiedliwiłby tę suponowaną opinię hiszpańskich intelektualistów.

ZYGMUNT JAROSZ

Do Przyjaciół „Epoki“

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „Epoki“

Książka którą trzeba czytać umiejętnie

Nie każdemu los pozwolił zostać historykiem, nie jeden mimo szczerych wysiłków pozostanie tylko kronikarzem lub, co gorsza, fabulistą. Bo nie każdy jest filozofem i politykiem zarazem. A dopiero prawdziwie filozoficzne i głęboko, poważnie polityczne spojrzenie na dzieje pozwala przeniknąć je, zrozumieć i ukazać czytelnikowi. Dopiero połączenie mądrej filozofii z mądrą polityką daje głęboką historiozofię, bez której nikt nigdy historykiem nie był i nie będzie.

André Maurois nie jest ani filozofem ani politykiem. Dlatego nie szukajmy w jego historii narodu angielskiego*) żadnej głębszej filozofii dziejów, żadnej próby jednolitej interpretacji zjawisk dziejowych żadnej naukowej charakterystyki postaci historycznych, żadnej „doktryny" historiozoficznej. Maurois nie kusi się nawet o to i — dobrze robi. Pisarz, któremu w literaturze historycznej może się udać najlepiej plotkarska *vie romancée,* zasłużył się bardzo wobec swoich czytelników, jeżeli w sposób przystępny i przyjemny, nie odstraszający konsumentów łatwizny, udostępnił im historię polityczną Anglii i w miarę uwzględnił dzieje społeczne i kulturalne. To wystarczy. Czytelnik o nieco szerszym horyzoncie myślowym, obdarzony pewną dozą wyobraźni historycznej (której Maurois nie posiada ani za grosz), wyczyta w tej książce więcej, niż autor zamierzał dać i mógł dać. Zrozumie więcej, niż mógł zrozumieć autor, który — prawie nic nie zrozumiał. Bo historiozofia Maurois jest, co tu owijać w bawełnę, ubożuchna: „Ludzkość była zawsze podzielona, mniej więcej równo, na optymistów i pesymistów". Po naszemu znaczy to, że w społeczeństwie byli zawsze zadowoleni i niezadowoleni. Wiadomo, jakie były motywy jednych i drugich. Maurois sądzi jednak, że to rzecz temperamentu. Ot, chłop pańszczyźniany, to urodzony pesymista, a szlachcic czy opat feodalny, to przedstawiciel pogodnego optymizmu, radosnego wejrzenia na świat i życie! Żeby zaś nie było wątpliwości, zapewnia nas autor, że liczba takich „pesymistów" i „optymistów" była zawsze mniej więcej równa...

A jak rozumie Maurois wielki przewrót społeczno - polityczny i obyczajowy w Anglii w połowie XVII wieku? Głęboko psychologicznie: „Purytanie mieli wstręt do poezji, włoskiej i zmysłowej, elżbietańskiego Renesansu. Czy była to krew saska? Klimat? Śródziemnomorska radość życia była dla nich przedmiotem zdziwienia i zgorszenia". Widocznie za czasów Elżbiety i Szekspira (o 50 lat wcześniej) inna była w Anglii rasa i inny klimat.

Oto, do jakich wyników dochodzi Maurois, gdy zaczyna „historiozofować". Na szczęście zdarza mu się to bardzo rzadko. Toteż książkę jego można czytać bez irytacji, a nawet z dużą przyjemnością, bo i świetny, barwny przekład Wacława Rogowicza, z licznymi wyjaśnieniami tłumacza, czyni z niej lekturę bardzo pociągającą i sam temat: *narodziny, wzrost i triumf wielkiej demokracji,* uczy i podnosi na duchu.

*) André Maurois: Dzieje Anglii. Przekład Wacława Rogowicza. — Warszawa, 1938. Wyd. J. Przeworskiego.

Własna wyobraźnia historyczna i głębsze, polityczne spojrzenie na dzieje pozwolą czytelnikowi wyciągnąć z książki Maurois tak znaczną korzyść, że po przeczytaniu uzna ją za nader pożyteczną, zwłaszcza w Polsce, gdzie historia Anglii jest tak mało znana, a jeszcze mniej rozumiana. Tę dużą dla polskiego czytelnika wartość „Dziejów Anglii" znajdziemy np. w tym, co sir John Fortescue w roku 1470 pisał o prawach angielskich, wychwalając na obczyźnie, we Francji, ich zalety: „Jakże mogły by nie być dobre, skoro są dziełem nie jednego człowieka, nawet nie stu radców, lecz trzystu z górą ludzi wybranych? Zresztą, gdyby przypadkiem były złe, mogą być naprawione za zgodą wszystkich Stanów królestwa... *W Anglii wola ludu jest pierwszą rzeczą żywotną, wlewającą krew do głowy i we wszystkie członki ciała politycznego*".

Pewna bardzo powierzchowna, ale pretensjonalna, spreparowana dla doraźnego użytku politycznego, „historiozofia" utrzymuje, że polska tradycja demokratyczna jest dziś czcigodnym może, nie mniej jednak kompletnym anachronizmem, bo demokracja miała dla nas sens praktyczny tylko jako przeciwstawienie się obcemu, zaborczemu aparatowi administracyjnemu. Skoro więc w niepodległym państwie rząd jest już swój, demokracja parlamentarna traci wszelkie realne znaczenie, staje się niepotrzebna i szkodliwa. Ale parlamentaryzm powstał w Anglii przed wiekami (i na wiele wieków przed demokracją) jako organ kontroli narodu nad *własnym,* narodowym rządem. To nie rządowi zaborczemu narzucił naród angielski zasadę, że nie wolno ściągać podatków bez zgody tych, co je będą płacili! A z biegiem wieków wywalczył sobie ten tak dziś przez niektórych lżony parlament prawdziwe wszechwładztwo polityczne i gospodarcze, stał się dumnym, zazdrosnym o swe prawa, nietolerancyjnym wobec korony i jej ministrów, organem narodu suwerennego, rządzącego! I dobrze z nim było Anglii, żyła, rosła i wyrosła na to, czym jest dziś. Nie ma naród angielski pretensyj do swego parlamentaryzmu, choć nieraz jest niezadowolony z aktualnego parlamentu. Może mu się nie podobać taki lub inny skład Izby Gmin — i wtedy zmieni go przy najbliższych wyborach. Ale nikomu w Anglii nie przyjdzie na myśl krytyka samej instytucji parlamentu, mimo tak niemiłej i kompromitującej go w opinii faszystów nazwy: parlament - gadalnia! Ta gadalnia zniszczyła potęgę Filipa II, Napoleona i Wilhelma II. Zdała egzamin dziejowy!

Wielu rzeczy można nauczyć się w historii Anglii. Jakże bardzo bliski sercu naszemu jest bolesny ton rozpaczliwej skargi angielskiego „człowieka poczciwego" z drugiej połowy czternastego stulecia, jak bardzo rozumiemy ten wieczysty ból nieszczęsnego przedsiębiorcy, obdzieranego ze skóry przez rozzuchwalonych robotników:

„Na świecie jest coraz gorzej, pisał Gower około roku 1375, kiedy pastuch żąda więcej, za swą pracę, niż ongi żądał rządca. Za moich czasów parobcy nie jadali pszennego chleba. Żywili się fasolą lub pośledniejszym zbożem; pili tylko wodę, mleko i ser

to były dla nich frykasy. Wówczas świat był tym, czym powinien być dla ludzi takiej kondycji. Trzy rzeczy są bezlitosne, gdy da się im wziąć górę: powódź, pożar i motłoch. Ach, nasze czasy, do czego nas doprowadzicie? Gdy lud, który winien zajmować się tylko swoją pracą, chce lepiej jadać, niż jego panowie..."

Źle się więc działo w Anglii już w XIV wieku, na pięć lat przed wielkim buntem chłopskim. Lud podnosił głowę z roku na rok coraz wyżej i chociaż możni stłumili powstanie, feodalizm otrzymał cios śmiertelny. Porządek pańszczyźniany runął. Ale nowe zło zastąpiło stare i porządek społeczny znowu czuł się zagrożony i musiał się bronić: „W r. 1410 został uchwalony statut *De Heretico comburendo*, który potwierdził Kościołowi prawo oddawania kacerzy na spalenie katowi. Wówczas zaczęły się prześladowania i ofiarami ich była przeważnie biedota, krawcy, garbarze..."

Cóż stąd, że Maurois naprawdę nie wiele rozumie (może woli nie rozumieć) z tego wszystkiego? Dzieje mają własną wymowę! Jak Rzym dla świata antycznego, tak Anglia dla wieków średnich i nowych stała się poniekąd klasycznym urzeczywistnieniem właściwego naszej cywilizacji procesu dziejowego. Jest ona krajem, w którym historia przebiegała niemal według „przepisu", jest zwierciadłem, w którym przeglądał się duch dziejów całej Europy. I Maurois zawodzi jako historyk najbardziej właśnie w rozumieniu i malowaniu wielkich, przełomowych momentów historii angielskiej, takich momentów, w których historia ta posuwała się naprzód olbrzymimi skokami i wysuwała naród angielski na czoło cywilizacyjnego pochodu ludzkości. W książce romansisty francuskiego całkowicie zatracił się pełen dramatycznego napięcia heroiczny bój Anglii elżbietańskiej ze sprzymierzoną reakcją europejską pod przewodem Rzymu i Hiszpanii Filipa II. Potężna koalicja nie przebiera w środkach, organizuje w samej Anglii, wśród katolickich rodów arystokratycznych, spiski o charakterze wyraźnie targowickim, wyzyskuje niezadowolenie katolickiej Irlandii, wreszcie całą potęgę militarną Hiszpanii rzuca przeciw osamotnionej wyspie. Osamotnionej? Protestanci wszystkich krajów, prześladowani we Francji, Hiszpanii, krajach habsburskich, spoglądają w owym czasie nad Tamizę, gdzie kultura angielska błyszczy nieznaną przedtem świetnością, gdzie wyrasta nowe społeczeństwo, nowy porządek rzeczy, gdzie z średniowiecznych powijaków wyzwala się jednostka ludzka, której namiętności, radości i cierpienia przedstawia na scenie genialny poeta. I Anglia zwycięża. Musiała przecież zwyciężyć. Dumna, niezwyciężona Armada spoczywa już na dnie morza angielskiego. Fale morskie zatopiły potęgę hiszpańskiego despotyzmu i — zatopiły stary porządek europejski. A Brytania rządzi na falach i przoduje światu w budowie nowego porządku. To wszystko zgubiło się gdzieś w książce Maurois, choć autor nie zgubił faktów i starał się nawet odmalować tło historyczne. Nic z tego jednak nie wyszło.

Jak nic nie wyszło z próby charakterystyki Cromwella. Bo Maurois poprostu nie zauważył, nie zrozumiał roli, odegranej przez dzielnego ziemianina w rewolucji angielskiej, w dziejach Anglii. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że Cromwell to najklasyczniejszy bodaj, obok oryginalnego wzoru, przedstawiciel t. zw. bonapartyzmu: militarnej dyktatury posiadaczy, zbierających owoce rewolucji dokonanej przez lud, który w walce o własny, demokratyczny, „równościowy" ideał, niweczy doszczętnie stary porządek, ale niezdolny jest jeszcze do przeobrażenia świata w myśl swoich dążeń. I wtedy nowe możnowładztwo pieniądza i ziemi pod wodzą opromienionego aureolą zwycięstw bohatera przywołuje lud do porządku, wskazuje mu jego właściwe miejsce. Tę rolę Cromwella, tę jego wielkość w dziejach Anglii Maurois przeoczył, bo nie poznał w wielkim Angliku pierwowzoru bonapartyzmu, którego w ogóle chyba nie rozumie.

Nie trzeba jednak francuskiemu powieściopisarzowi stawiać aż takich, zbyt przecież wygórowanych wymagań. Powtarzamy: niezależnie od ubóstwa filozofii dziejowej autora, książka jest pożyteczna i czytać ją warto. Trzeba ją czytać.

MICHAŁ JORDAN

Książki

H. G. Wells: Próba autobiografii. Odkrycia i wnioski zupełnie zwyczajnego mózgu (od r. 1866). Warszawa, 1938. „Rój". Tom I. Str. 406. Przekład Ludwika Krzyżanowskiego.

Wells na własnym życiu demonstruje, jak pewna jednostka powstawała, krystalizowała się i jakie były motywy jej działania. W swej autobiografii jest tylko przypadkowym obiektem, który ilustruje historię ludzi danego pokroju w danej epoce, historię kontaktów pewnej umysłowości z pewnym światem. Nie jest to pamiętnik historyczny. Nie zależy mu zupełnie na tym, aby przekazać potomności ścisłe szczegóły swego życia. Interesuje go natomiast zupełnie obiektywnie, dlaczego osobnik zwany Wellsem postępował w życiu tak, nie zaś inaczej i w jakim stopniu do tego postępowania przyczyniły się czasy i warunki jego bytu. Daleki zarówno od zarozumiałości, jak i od fałszywej skromności patrzy na siebie z perspektywy lat jak na indywiduum, z którym obecnie bynajmniej się nie utożsamia. Ta analiza własnego życia i ówczesnych stosunków społecznych w Anglii wypełnia ogromny I tom autobiografii.

Tom ten poprzedza przedmowa. Bardzo ważna, głęboka i mądra przedmowa. Odsłania ona motywy, które skłoniły autora do napisania swej biografii.

We współczesnym świecie Wells czuje się źle. Wyznaje: „Sprawy podrzędne i powszednie otaczają mnie coraz bujniej rosnącą dżunglą. Moje godziny są nimi zduszone; myśli przez nie porwane na strzępy". Wells konstatuje obecnie w życiu wszystkich ludzi twórczych pragnienie wydobycia się z tej matni i skupienia maksimum energii na tym, co jest ich specjalnym zadaniem życiowym. A jest nim — przetworzenie życia ludzkiego. Konkluduje, że pełnia, swoboda i szczęście są dostępne dla naszego gatunku. To jest do osiągnięcia zaraz. Lecz jeśli ludzkość nie uchwyci sposobności, grozi jej unicestwienie. Decyzję należy powziąć w bardzo ograniczonym czasie. Książka Wellsa jest głosem przestrogi.

ST. CZ.

Katelbach Tadeusz: Za litewskim murem. Warszawa 1938. „Rój". Str. 379.

Autor był pierwszym korespondentem prasy polskiej na Litwie. Przebywał w Kownie od jesieni 1933 r. do lutego 1937. Książka jego ukazała się przed nawiązaniem stosunków sąsiedzkich z Litwą i jest zbiorem

artykułów, drukowanych w „Gazecie Polskiej". Tak luźnie związana książka posiada braki, wobec jednak ubóstwa wiadomości o życiu współczesnej Litwy, jest ona dla polskiego czytelnika cennym i ciekawym informatorem o stosunkach panujących u naszego północnego sąsiada. Trzeba autorowi przyznać, że obserwacje jego są obiektywne, a korespondencje nacechowane spokojem, z wyraźną skłonnością do łagodzenia zadrażnionych stosunków wzajemnych. Zapisać to powinniśmy na jego dobro, jak również podnieść jego wysiłek pokazania nam pełnego obrazu dzisiejszej Litwy.

Z lektury książki Katelbacha odnosi się wrażenie, że głównym powodem, dla którego Litwa odgrodziła się od Polski nieprzebytym murem, była obawa przed nadmiernie silnym wpływem kultury polskiej. Chodziło o to, aby młoda litewskość zdołała dostatecznie okrzepnąć, by móc z powodzeniem przeciwstawiać się naporowi silnej obcej kultury.

Jednocześnie odbiera się wrażenie, że opinia litewska przeważnie była przychylna myśli unormowania stosunków z Polską. *ST. CZ.*

Juliusz Kaden-Bandrowski: Życie Chopina. Gebethner i Wolf, 1938. str. 129.

To nie jest monografia Chopina. To są impresje na temat życia Chopina na tle jego epoki. Kaden sublimuje polskość muzyki mistrza, trafnie zauważa, że ze skrawka ziemi polskiej między Żelazową Wolą a Warszawą, skrawka opuszczonego zresztą w najwcześniejszej młodości, Chopin na całe życie wywiózł całą Polskę. Autor dopatruje się u Chopina kompleksu: uchylanie się od udziału w powstaniu. Tym wyrzutem sumienia tłumaczy i ofiarność Chopina dla uczestników powstania po jego upadku i uczuciową barwę jego utworów. Przypomina definicję muzyki Chopina daną przez Schumanna: działa w kwiatach.

Entuzjazm, patos, pietyzm — słowem cały uczuciowy ładunek, jaki Kaden włożył w swój utwór, chwilami jaskrawo kontrastuje z partiami książki o charakterze raczej reportażowym. *ST. CZ.*

Janusz Korczak: Uparty chłopiec — życie Ludwika Pasteura. Warszawa — Kraków 1938 r., wyd. J. Mortkowicza.

Tę niedużą, przeznaczoną dla młodych czytelników, biografię wielkiego Francuza w formie beletrystycznej, przeczytają młodzi z pożytkiem — starzy z przyjemnością. Miłość dla nauki i walka z straszliwym, zakonspirowanym do czasów Pasteura, wrogiem rodzaju ludzkiego wypełnia piękny żywot francuskiego bakteriologa, jednego z największych bohaterów ludzkości, jednego z najdzielniejszych szermierzy jej wyzwolenia spod władzy nienasyconego Molocha-choroby. Wytropienie i zdemaskowanie zarazka wścieklizny, stworzenie genialnego w swej prostocie systemu walki z nim, zapewniło ludziom raz na zawsze zwycięstwo nad tym naprawdę niesamowitym wrogiem. Zwycięstwo to wiąże się z imieniem Pasteura, którego Janusz Korczak ukazał nam w swej książce jako chłopca i mężczyznę, jako ucznia i uczonego, jako człowieka zwyczajnego i jako — wielkiego człowieka. Jasność i prostota znamionują tę cenną książeczkę. Wartości arcyludzkie znalazły tutaj swój właściwy wyraz i nie jest rzeczą przypadku, że one przede wszystkim pociągnęły pisarza i człowieka tej miary, co Janusz Korczak.

Na widowni polskiej i światowej

SPALA GO ŻĄDZA PANOWANIA

— „Nacjonalizm?... Wystawiony na słońce i wiatr, straci swój odurzający zapach. Nie można zapobiec nieuniknionym wydarzeniom. Świat idzie ku międzynarodowemu socjalizmowi, ku federacji ojczyzn — już siostrzanych, zaś wrogich. Nacjonalizmy nie są niczym innym, jak spazmatycznymi wysiłkami burżuazji, by o dzień, o rok oddalić to wielkie wydarzenie, które zakończy prehistorię ludzkiego rodzaju".

Z czyich ust padły te słowa? Z ust ...Mussoliniego w roku 1910. Przytaczamy je z nowej, niezwykle interesującej książki o Mussolinim, która ukazała się świeżo w Anglii. Jej autorem jest Gaudens Megaro. Ta biografia Mussoliniego jest pierwszą poważną i przekonywającą próbą odtworzenia niezwykłej przemiany, która sprawiła, że w ciągu kilkunastu lat czołowy przywódca i rzecznik włoskiego socjalizmu — stał się wodzem włoskiego faszyzmu.

Dziecięce lata i początki kariery Mussoliniego są — zdaniem Gaudensa Megaro — kluczem do zrozumienia dziejów Il Duce.

Mussolini urodził się w 1883 roku w Forli, w buntowniczej prowincji Romagna. Ojciec jego był znanym socjalistą. Nadał synowi imiona Benito, Amilcare, Andrea: Benito — na cześć meksykańskiego rewolucjonisty, Amilcare i Andrea — na cześć dwóch włoskich internacjonalistów.

Od wczesnej młodości Benito Mussolini był brutalnie gwałtowny i porywczy. Ze szkoły wydalono go za pchnięcie scyzorykiem kolegi.

W dwudziestym roku życia Mussolini był sekretarzem włoskich socjalistów w Bernie. W 1912 zostaje wydawcą „Avanti" Sorel widzi w nim wówczas przyszłego wodza Włoch. W namiętnych wystąpieniach, w artykułach i mowach, Mussolini głosi hasła rewolucyjnej działalności. Atakuje z pasją króla, armię, parlament, Chrystusa.

Ma przy tym artystyczne ambicje. Pisze powieść „Kochanka kardynała" zapowiada tom p. t. „Krytyczne studia z literatury niemieckiej" i tom p. t. „Perwersyjne nowele".

W drugiej połowie życia przekreśla dokładnie wszystko to, co w pierwszej głosił i budował.

Megaro pisze:

„Rozczarowany, że nie poprowadził rewolucji socjalistycznej we Włoszech, stworzył anty - demokratyczny faszyzm, który jest dzieckiem jego antydemokratycznego socjalizmu. Zawsze mu zależało więcej na namiętnej walce politycznej, niż na społecznym sensie i wyniku tej walki. Jego socjalizm, rewolucjonizm, nacjonalizm — były ideologicznymi maskami jedynej jego namiętności: przewodzenia napastnikom. Jest kondotierem XX wieku. Spala go żądza panowania. Dla jej zaspokojenia, podejmie każde przedsięwzięcie.

„Nigdy nie miał zainteresowań naukowych, badawczych czy ideowych, brał z nich tylko to, co mu było potrzebne do wysunięcia się naprzód. Przejmuje się tylko sobą. Póki Mussolini żyje jako głowa rządu, świat nie zazna spokoju.

Największą jego pokusą jest zwycięstwo ducha faszyzmu, którego wcieleniem jest on sam".

Na marginesie zaś niedawnej, haniebnej dyskusji abisyńskiej w Genewie godzi się przytoczyć słowa Mussoliniego z okresu pierwszej wojny abisyńskiej, gdy on sam był ...dezerterem z armii włoskiej:

— „Italia potrzebowała chleba, a wytoczono z niej wszystką krew. Pogrążono ją w zgubne przedsięwzięcia kolonialne, gdy łaknęła jednej tylko rzeczy: wewnętrznego odnowienia".

Z KALENDARZA HAŃBY.

Nowojorskie „Sunday News" ogłasza poniższą opowieść o jednym z nielicznych więźniów słynnego obozu koncentracyjnego w Dachau, opowieść o więźniu, któremu powiodło się odzyskać wolność.

— Dawid Schneider — po trzyletnim pobycie w Dachau — znalazł się w Nowym Yorku. Schneider liczy 30 lat. Ma oczy wylęknionego dziecka.

Dzieje Schneidera nie są osobliwe. Zwykłe, proste dzieje, o których opowiada tak, jak o wakacjach, spędzonych nad morzem. Jego głos brzmi monotonnie i beznamiętnie.

„We wrześniu 1934 udałem się w sprawach handlowych do Paryża. Przypadkowo spotkałem na ulicy Maxa Brauna. Rozmawiałem z nim przez pięć minut. Braun jest nieugiętym wrogiem hitleryzmu. Wiedziałem o tym i dlatego nie rozmawiałem z nim zbyt długo, tak długo tylko — ile trzeba na przywitanie się z dawnym znajomym".

„W powrotnej drodze do Niemiec zostałem aresztowany na granicy. Agenci Gestapo zapytali: „Gdzie jest Max Braun?". Byłem oszołomiony i odparłem „Nie wiem".

„Wówczas podsunięto mi przed oczy zdjęcie, na którym rozmawiałem z Braunem w Paryżu. Byłem zgubiony.

„Po trzech dniach byłem już Dachau. Przy wstępnym badaniu wybito mi dwa zęby... Uwięzionych bije się pięściami i kolbami strzelb. Opornych wolno rozstrzeliwać. Dlatego nie skuwa się więźniów".

Oto wyjątek z pamiętnika Schneidera:

— 10 września 1936. — Geisert, jubiler z Monachium, zmarł dziś z upływu krwi. Padł przy dźwiganiu kamieni. Nie wezwano lekarza. Choroba nie jest tu uznawana. 23 października 1936. — Tej nocy powiesił się dr Artur Fels, lekarz wojskowy w czasie wojny. Był Żydem. 24 października 1936 — Dziś przy budowie szosy zmarł 27-letni Alfred Levy, kupiec z Berlina. 5 marca 1937 — Levynbreg z Wiesbadenu powiesił się dziś rano. Po chłoście nie mógł chodzić. 12 marca 1937 — W toalecie baraku Nr. 6 dwaj szturmowcy powiesili Alfreda Löwensteina z Berlina. Słyszałem od Ebhardta, że obaj oprawcy byli pijani.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę o umieszczenie na łamach Swego poczytnego pisma tych kilka zdań wyjaśnienia.

W związku z wygłoszonymi przeze mnie odczytami o antysemityźmie i w związku z wyjściem mojej książki p. t. „Antysemityzm rujnuje moją ojczyznę", prasa endecka i ludzie nieuczciwi rozsiewają nieprawdziwe pogłoski, jakoby te moje wystąpienia były i są płatne.

Otóż kategorycznie oświadczam, że żadnych korzyści materialnych, tytułem honorariów, ani z odczytów, ani z książki nie czerpałem i nie czerpię, na co w każdej chwili mogę służyć dowodami.

Natomiast, jeśli pewne organy prasowe i ludzie będą w jakiejkolwiek formie w dalszym ciągu rozsiewali podobne pogłoski, sprawę skieruję na drogę sądową.

Lwów. *ANTONI GRONOWICZ*

KSIĄŻKI NADESŁANE

Maria Dąbrowska: Ręce w uścisku. Rzecz o spółdzielczości. Warszawa — Kraków 1938. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

C. F. Ramuz: Pastwisko na Derborence. Przekład **Stefana Flukowskiego.** Warszawa — Kraków 1938. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Kazimierz Wierzyński: Wiersze wybrane. Biblioteka Wierszy Wybranych. Nr 3. Warszawa — Kraków 1938. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Antoni Trepiński: Dziennikarz na prowincji. Broszura przeznaczona dla kandydatów na współpracowników prasowych. Warszawa 1938. Księgarnia F. Hoesicka.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

R E D A K T O R przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się

P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4938 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.